

Świat coraz bardziej pusty. Jerzy Połomski (1933-2022).



Jerzy Połomski i Maria Nowotarska, spektakl „Dopóki śpiewam ja”, Toronto 2002 r, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Odchodzą znani i lubiani aktorzy, piosenkarze, pisarze, malarze, kompozytorzy. Jeden po drugim. A byli z nami całe nasze życie. Tworzyli, jak się urodziliśmy, wypełniali świat filmu, czy estrady, jak dorastaliśmy. Ich twarze uśmiechały się do nas z ekranu, pojawiały się na plakatach. Takie filmy jak „Janosik”, „Czterdziestolatek”, „Pan Wołodyjowski”, „Czarne chmury”, „Czterej pancerni i pies”, czy „Stawka większa niż życie” przenosiły nas do innej krainy, pozwalały przeżywać emocje, odrywały od szarej, komunistycznej rzeczywistości. Nie ma już Gustlika, kapitana Hansa Klossa, małego Rycerza, czy pułkownika Krzysztofa Dowgirda. Nie ma takich postaci jak Czesław Miłosz, czy Krzysztof Penderecki. A wydawało się, że będą zawsze.

14 listopada 2022 roku odszedł też Jerzy Połomski. Może nie byłam zbyt wielką entuzjastką jego repertuaru, był to repertuar raczej dla mojej mamy, czy babci, ale jego piosenki stanowiły pewien niezmienny kanon, wypełniający radiowe stacje muzyczne. Do dziś brzmią mi w pamięci jego utwory.

Jerzego Połomskiego miałam okazję poznać przy okazji zbierania materiałów do książki „Teatr spełnionych nadziei” o teatrze polskim w Toronto, założonym przez aktorkę Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie – Marię Nowotarską. Teatr ten

przygotował dwa spotkania poświęcone twórczości
mieszkającego w Toronto Jarosława Abramowa-Newerlego. Na
drugi spektakl p.t. „Dopóki śpiewam ja”, który miał miejsce w
2002 r. został zaproszony Jerzy Połomski. Tytuł został
zaczepnięty z piosenki z jego repertuaru: *...nic się nie martw,
sytuacja nie jest zła – dopóki śpiewam ja!*

 SALON MUZYKI I POEZJI - Polsko Kanadyjskie Towarzystwo Muzyczne
pod patronatem honorowym Konsulatu Generalnego R.P. w Toronto
przedstawia spektakl piosenki i satyry poświęcony twórczości
JAROSŁAWA ABRAMOWA NEWERLY

Dopóki śpiewam

Występuje:
MARIA NOWOTARSKA
KAROLINA INGLETON
HELENA JANIK
MALGORZATA MAYE
KINGA MITROWSKA
AGATA PILITOWSKA
SŁAWEK IWASIUŁ
KRZYSZTOF JASIŃSKI
ANDRZEJ PASADYN

duet taneczny:
AGATA HANSEN I RAFAL HOŁODY,
Grupa Studia Aktorskiego Salonu S.A.S.

scenariusz i reżyseria:
JERZY POŁOMSKI

Scenariusz i reżyseria
MARIA NOWOTARSKA

Kapela i światło muzyczne:
JÓZEF SOBOLEWSKI

Scenografia
JOANNA DĄBROWSKA

Światło, dźwięk
KRZYSZTOF SAJDAK

Organizacja
JERZY PILITOWSKI

Illustration and design by Tadeusz Bernat / barkhotstudio.com



Maria Nowotarska i Jerzy Połomski, spektakl „Dopóki śpiewam ja”

✱

Byłam na tym spektaklu.

„Artysta miał wystąpić z krótkim recitalem, jednak na prośbę publiczności występ zamienił się w wieczór wspomnień wypełniony większością znanych przebojów z repertuaru Jerzego

Połomskiego. Piosenkarz pojawił się na scenie tak jak przed laty, w nienagannym garniturze, równo uczesany, elegancki, tak samo śpiewający swoje przeboje. Stworzył swój własny styl i po cóż miałby go zmieniać. Śpiewa dla tych, którzy go słuchają, którzy go lubią. To jego głos towarzyszył dancingom, sylwestrom w lokalach, gdzie tańczono przy dźwiękach piosenki *Cała sala, śpiewa z nami*. To jego głos dobiegał z radia na wczasach, a wakacyjny deptak brzmiał słonecznie piosenką *Bo z dziewczynami nigdy nie wie, och nie wie się*. Publiczność w Toronto bardzo gorąco przyjęła Jerzego Połomskiego. – *Była niesłychanie serdeczna atmosfera – wspominał potem piosenkarz. – Marysia zapowiedziała mi po prostu po królewsku. Szalenie to było miłe. Czuję gorące przyjęcie mnie przez publiczność. Sprawilo mi to duzą radość”*.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny, Novae Res, 2016.

Z Jerzym Połomskim umówiłam się w kawiarni na Mokotowie. Był punktualnie. Rozmawialiśmy długo, w bardzo miłej i ciepłej atmosferze. Opowiadał jak poznał Marię Nowotarską i jaką radość sprawiło mu zaproszenie do Toronto. Mówił, że nie stara się nadażyć za nowymi trendami w muzyce, nie kokietuje młodego pokolenia, śpiewa dla tych, którym jego piosenki przypominają lata młodości, otwierając na chwilę jakiś zamknięty rozdział w życiu. Ma swoją wierną publiczność i będzie dla niej

śpiewał, dopóki będzie go potrzebować.

Radził mi, żebym na okładce książki nie używała drugiego nazwiska – Gwizdka, tylko została przy nazwisku panińskim Sokołowska, bo lepiej brzmi. Mówił, że jego prawdziwe nazwisko to Pająk. Jego brat, mieszkający na Florydzie czy siostra, nigdy nie zmienili nazwiska. Jemu, jako dobrze zapowiadającemu się artyście estradowemu, zmianę nazwiska zaproponował Aleksander Bardini, gdy był jeszcze na studiach. (*Wikipedia podaje, że był to Ludwik Sempoliński*). I nie żałuje tej decyzji. Odpowiedziałam wtedy, że nie chciałam mojemu mężowi zrobić przykrości, więc pewnie zostanę przy dwóch nazwiskach.

Rozmowę z Jerzym Połomskim opisałam w książce „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny”. Trzeba chwycić chwile, bo ludzie, którzy mieli być zawsze, tak szybko zamykają za sobą drzwi.



Maria Nowotarska i Jerzy Połomski, Toronto 2002, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru

Oto fragment książki:

„Jerzy Połomski:

Pewnego dnia zjawiała się w Warszawie bardzo elegancka, wielkiej urody pani i przedstawiła się znanym mi nazwiskiem, świetnej krakowskiej familii. Od razu skojarzyłem ją z Różą Nowotarską z Waszyngtonu, moją największą przyjaciółką, jaką

kiedykolwiek spotkałem. Dama, jak się potem okazało, blisko spokrewniona z Różą Nowotarską, zaprosiła mnie do udziału w jubileuszu Jarosława Abramowa-Newerlego. Obiecała załatwić wszystkie formalności związane z przyjazdem. Trochę była skrupowana, bo nie mogła mi zaproponować wysokiego wynagrodzenia. Mnie jednak to zaproszenie bardzo zainteresowało, bez względu na warunki i poleciałem do Toronto.

Marysia jest aniołem opiekuńczym dla artystów, których sprowadza. Znalazło się więc dla mnie osobne mieszkanie, blisko niej i jej rodziny u pani Teresy Wierzbickiej. Otoczony byłem ciepłem i rodzinną atmosferą. Pani domu częstowała mnie obiadem, a ja czułem się, jakbym ich wszystkich znał od dawna.

Podobało mi się mieszkanie Marii i Jerzego, urządzone w krakowskim stylu. Ile tam było różnych pięknych drobiazgów, gustownie zestawionych, od razu widać, że to mieszkanie artystki. Dobrze się czuję w takich wnętrzach.

Podczas wieczoru poświęconemu Jarosławowi Abramowowi, miałem okazję spotkać się z inteligencją polonijną. Na widowni była m.in. pani doktor Ryszarda Russ i zaprosiła mnie do udziału w koncercie charytatywnym. Tak dzięki Marysi – doszło do kontaktów z serdecznie do mnie nastawioną publicznością.

Bardzo mi się podoba, że Marysia gromadzi wokół siebie

młodzież polonijną, że pozwala im się wyśpiewać i jest dla nich sceniczną matką. Dzięki temu młodzi ludzie nabierają pierwszych doświadczeń aktorskich i mają okazję obcować z polską literaturą. Może ta działalność zaowocuje tym, że dzieci polskich emigrantów będą chciały wrócić do kraju swoich rodziców? Salon (*Salon Poezji, Muzyki i Teatru - nazwa teatru polskiego z Toronto*) według mnie spełnia też rolę „spoidła”. Gdyby każdy w Toronto żył swoim życiem, a wieczorami zamykał się w czterech ścianach, to osamotnienie i izolacja kulturowa by go ubezwłasnowolniły. Dzięki zaangażowaniu Marysi Polonia ma okazję łyknąć haust polskiego słowa na żywo. A to co innego, niż audycja z taśmy.

Ze swojej strony mogę powiedzieć, że stałem się szczerym wielbicielem Marysi.

Mimo mody na młodych artystów, oczekiwania na nowe twarze i nie ograne głosy, przy zaangażowaniu mediów w promowanie piosenkarzy, którzy mogą potencjalnie przynosić dochód wytwórciom fonograficznym, w czasach wszechobecnej ekspansji pieniądza, Jerzy Połomski zachował swój styl. I ciągle występuje ze swoimi przebojami w Polsce i za granicą. Jest idolem pewnego pokolenia i to pokolenie dalej chce go słuchać. Każdy kontakt z widownią przynosi zarówno jemu, jak i publiczności wiele

radości. Jerzy Połomski patrzy z dystansem na swoje życie i osiągnięcia. Nie goni za popularnością, pieniędzmi, nie chce być „na topie”. Śpiewa dla tych, którzy go słuchają, rozpalając serca sentymentem.

Jerzy Połomski:

W życiu codziennym i w zawodzie powinno się być autentycznym, nikogo nie udawać i żyć w zgodzie ze swoim sumieniem. Wtedy można powiedzieć, że żyło się pełnią życia. Trzeba lubić co się robi. Nie ma większego nieszczęścia, jak wykonywanie nie lubianej profesji dla zarobku.”

Joanna Sokołowska-Gwizdka, Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny, Novae Res, 2016.

f / NOVAE RES

Książka Joanny Sokołowskiej-Gwizdki łącząc elementy żywej narracji z naukowym warsztatem stanowi niezwykle świadectwo polonijnej działalności artystycznej, a jednocześnie jest wyrazem głębokiego uznanie dla niejedyni Bohoru Poza: Muzyki i Teatru w Toronto – Marii Nowotarskiej
prof. dr hab. Anna Kuligowska-Korzaniewska

„Teatr spełnionych nadziei. Kartki z dziejów emigracyjnej sceny” jest opowieścią o teatrze założonym w Toronto na początku lat 90. przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie Marię Nowotarską i o ludziach, którzy ten teatr tworzyli. Maria Nowotarska, mająca w swojej karierze zawodowej kontakt z najwybitniejszymi reżyserami i scenografami w historii teatru polskiego, przeszczepiła na grunt emigracyjny koncepcje wpisujące się w polską tradycję teatralną, wykorzystując przy tym możliwości, jakie dała nowa ojczyzna. Dzięki jej determinacji aktorzy, śpiewacy czy muzycy, którzy w Toronto podejmowali inne zawody, w torontońskim teatrze znaleźli swoje spełnienie i swoją ojczyznę. Teatr był też darem dla wieloletniej emigracji kanadyjskiej, głównie posolidarnościowej, która tęskniła za krajem i jego kulturą.

Książka ta obejmuje lata 1991-2012 i jest podróżą w czasie przez torontońską scenę, utwalającą unikalną, niepowtarzalną i ulotną materię teatru. Wielu osób związanych z torontońską sceną już nie ma, wielu poszło swoją życiową drogą. Jest to więc zapis historyczny, rejestrujący emocje i potrzeby właściwe dla pewnego czasu.

NOVAE RES
POPULARNOŚĆ KULTURY
9 783808 832713
Cena: 7,9 zł (z VAT)

TVP 3
ŁÓDŹ
TVP POLONIA

CULTURE AVENUE

JOANNA SOKOŁOWSKA-GWIZDKA
TEATR SPEŁNIONYCH NADZIEI

TEATR SPEŁNIONYCH NADZIEI.
KARTKI Z ŻYCIA EMIGRACYJNEJ SCENY
JOANNA SOKOŁOWSKA-GWIZDKA

NOVAE RES

6 grudnia, 2002, „Dopóki śpiewam ja”, spektakl poświęcony twórczości Jarosława Abramowa-Neverlego, scenariusz i reżyseria: Maria Nowotarska kierownictwo muzyczne: Józef Sobolewski, scenografia: Joanna Dąbrowska, światło i dźwięk: Krzysztof Sajdak, organizacja: Jerzy Pilitowski, projekt plakatu: Tadeusz Biernot, występują: Maria Nowotarska, Karolina Ingleton, Helena Janik, Małgorzata Maye, Kinga Mitrowska, Agata Pilitowska, Sławek Iwasiuk, Filip Świrski, Andrzej Pasadyn, duet taneczny Agata Hansen i Rafał Hołody, Grupa Studia Aktorskiego Salonu S.A.S. oraz gościnnie JERZY POŁOMSKI, Spektakle: Burnhamthorpe Library Theatre - 1350 Burnhamthorpe (7, 8 grudnia 2002).

*

Zobacz też:

„Teatr spełnionych nadziei” - opowieść o polskim teatrze w Toronto.

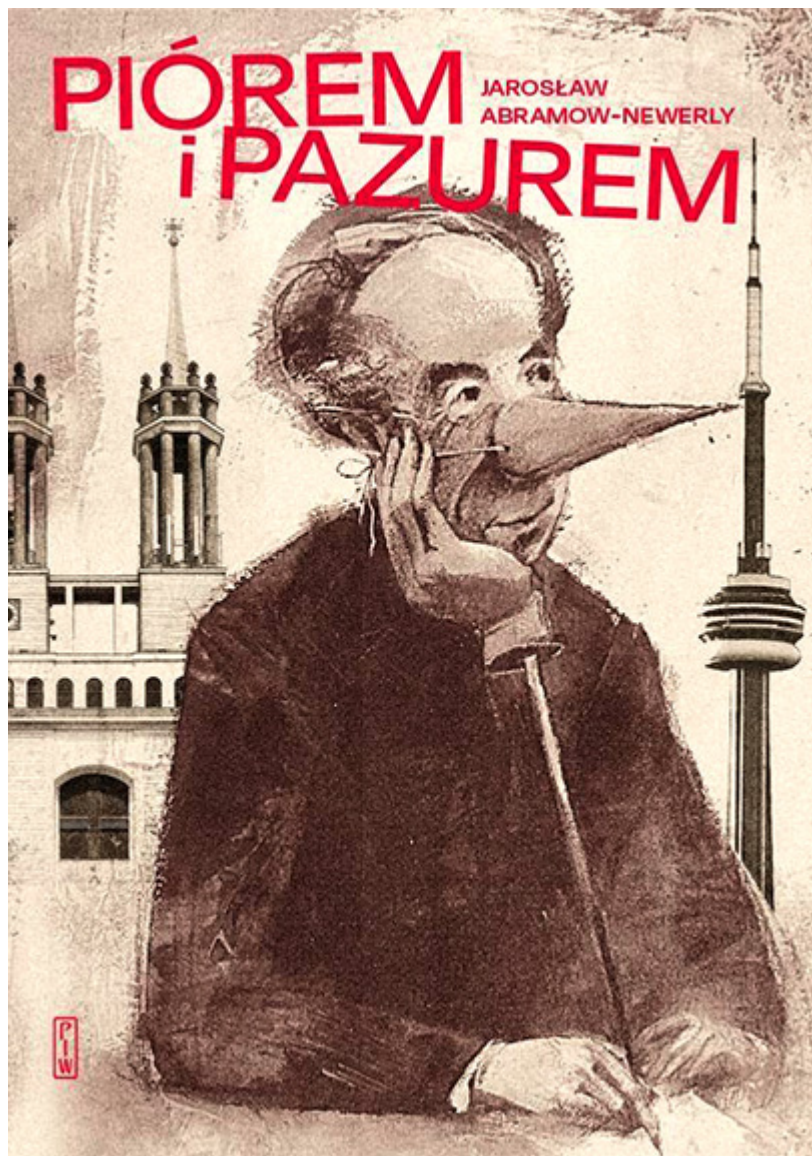
Więcej niż monografia. „Teatr spełnionych nadziei” Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

Promocja książki Jarosława Abramowa- Newerlego „Piórem i pazurem”

21 października 2021 r. o godz. 16.00 Państwowy Instytut Wydawniczy zorganizował w siedzibie Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu premierę najnowszej książki Jarosława Abramowa-Newerlego. Prapremiera tej książki miała miejsce w ubiegłym roku na łamach magazynu „Culture Avenue”. Na spotkaniu,

prowadzonym przez Karolinę Felberg, była nasza korespondentka, Dorota Rajszyś, która uwieczniła ten niezwykle wieczór autorski na fotografiach. *(Redakcja)*.



„Piórem i pazurem” wieńczy autobiograficzny cykl Jarosława Abramowa-Newerlego: „Lwy mojego podwórka”, „Lwy wyzwolone” i „Lwy STS-u”. Jednak w najnowszej książce autor wspomina nie kilka, ale kilkadziesiąt lat swojego życia – od 1960 roku do chwili obecnej. Tematem staje się więc życie pisarza w PRL-u, potem dalej – w czasie Karnawału „Solidarności”, stanu

wojennego, na emigracji i w IV RP. Życie to z rzadka tylko usłane jest różami. Mamy więc orkę w redakcji Polskiego Radia, ale też dyskusje z cenzurą, a potem, już w Kanadzie, niepewność jutra. Jarosław Abramow Newerly opowiada też o kulisach swoich małżeństw i z rozczeniem wspomina wspólne wakacje z maleńkimi córkami. Przywołuje przygody z przyjaciółmi po piórze: Markiem Nowakowskim, Jerzym Sito, Kazimierzem Orłosiem, Władysławem Lechem Terleckim i Włodzimierza Odojewskiego, którzy o swoje książki walczyli z systemem jak lwy.

Na podstawie noty Państwowego Instytutu Wydawniczego.

*

WIECZÓR AUTORSKI

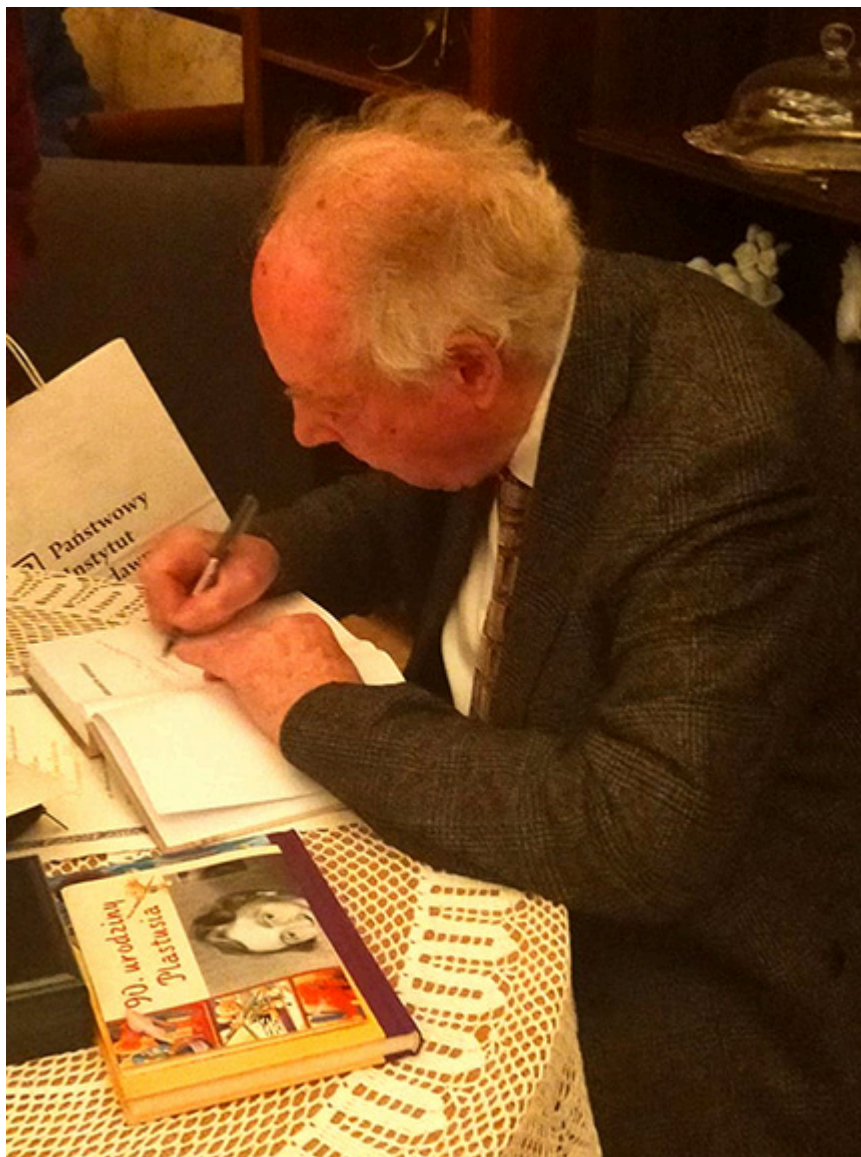
Jarosława Abramowa-Newerlego

Fotografie: Dorota Rajszyś









*

Fragmenty książki:

Patrzemy na siebie

Szelma wdowa

*

Wywiad z Jarosławem Abramowem Newerlym:

Złączył nas czas. Część 1.

Złączył nas czas. Część 2.

Złączył nas czas.

Część 2.

Rozmowa z Jarosławem Abramowem-Newerlym, kompozytorem, satyrykiem, dramatopisarzem, pisarzem - o ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które pozostały w pamięci.

*

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Znakomita Pana sztuka „Maestro” w reż. Kazimierza Dejmka (1983), odbiła się szerokim echem. Jest to opowieść o skrzypku, który po wielu latach pobytu za granicą, chce zorganizować swój jubileusz w Polsce. Podobno inspirował się Pan historią Artura Rubinsteina, który zresztą przy innej okazji pojawił się na jednym z Pana spektakli.

Jarosław Abramow-Newerly:



Fot. Wiktor Zajkowski-Gad

Do Artura Rubinsteina żywiłem starą wdzięczność. Otóż w 1966 roku, akurat w czasie obchodzonego w Polsce Millenium dyrektor Jerzy Jasiński, ojciec Ireny Zurowskiej mieszkającej dziś w Toronto, postanowił wystawić w kierowanym przez siebie Teatrze Polskim w Warszawie moją nową sztukę „Derby w Pałacu”. Rzecz rozgrywała się w pałacu w Dembowcu, w państwowej stadninie koni, którą kierował dyrektor Roman Karbot. Karbot rozmiłowany w przeszłości przekształcił pałac w Dembowcu w swego rodzaju muzeum konia rasowego w Polsce. W głównej sali stała makietka naturalnej wielkości ogiera, czołowego reproduktora dębowieckiej hodowli. Tej polityce Karbota sprzeciwia się sekretarz Byrczak, który pragnie zmienić Dębowiec w ośrodek rekreacyjny, a część koni sprzedać wysoko

za dewizy. Wprowadza do pałacu swoich robotników, których wyrzuca Karbot. Nabywcą koni jest hrabia Zygmunt Dembopolski, przedwojenny właściciel Dębowca, który w tym celu po raz pierwszy po wojnie przyjeżdża do Polski z Toronto. Pisząc w 1965 roku tę sztukę szukałem na mapie dźwięcznej nazwy miasta i do głowy mi nie przyszło, że za dwadzieścia lat sam wyląduję w Toronto, tak jak mój bohater. Hrabia Dembopolski, którego znakomicie zagrał Władysław Hańcza, widząc po środku kukłę konia naturalnej wielkości nie omieszkał powiedzieć:

- To pięknie. Mnie wyrzuciliście z pałacu w 1945 roku po to, by moje miejsce zajął wypchany ogier. Zaiste koński żart historii. - „Domator” to czołowy reproduktor naszej dembowieckiej hodowli. Znają go hodowcy w każdej księdze stadnej! - mówi Karbot - A mnie w każdym herbarzu polskim - odpowiada Hrabia - Ale nikt mnie z tego powodu nie wypchał i nie ustawił po środku pałacu. - Zabawne - kpi dalej hrabia - Koń powinien być rasowy, a człowiek nie powinien być rasistą. Geny i genealogia furda! Na śmietnik! A w życiu liczy się rasa! Krew! Kto cię począł, człowieku? ! Oto fundamentalne pytanie naszych czasów!

Następnie hrabia Zygmunt wspomina wraz ze swoim kamerdynerem Józefem, który dalej pracuje w Dębowcu, dzień, kiedy w 1945 roku opuszczał pałac - *Obeszliśmy dookoła pałac - mówi Józef - a następnie pan hrabia spytał: - Czy ja tu jeszcze*

wrócę, Józefie? – Wróci pan hrabia! Przecież Bóg jest w niebie! – odparłem. – Pan hrabia wyciągnął rękę na Wschód skąd grzmiało i rzekł: – Nie, Józefie. Nie wrócę. Azja nadchodzi. – I rzeczywiście. Nie wrócił. A mnie upaństwowiono wraz z pałacem.

Kamerdynera Józefa grał wyśmienicie Bronisław Pawlik. Po kwestii „Azja nadchodzi!” otrzymywał gromkie brawa, które spokojnie przeczekiwał i dodawał. „I rzeczywiście”. Tu znów dostawał brawa. Po dużej pauzie mówił dalszy tekst. Po pierwszym akcie sztuki, wpadł do mojej łóży zdenerwowany dyrektor Jasiński i powiedział: – *Niedobrze, panie Jarku. Zenon Kliszko ani razu się nie uśmiechnął i bardzo mu się te oklaski na sali nie podobają.* Kliszko był drugą osobą w państwie po Władysławie Gomułce i kierował całą polityką kulturalną w partii – *To rzeczywiście niedobrze, panie dyrektorze – przyznałem – No, tak – rzekł Jasiński. – Ale jest nadzieja. Córce Kliszki sztuka się bardzo podoba, śmieje się i klaszcze, to może ona go przekona.* Bardzo mnie to zaniepokoiło. Dalej aktorzy grali jak na skrzydłach i odnieśli wielki sukces. Publiczność wstała i zgotowała im brawa na stojąco. Ja byłem wywoływany na scenę. Ale los sztuki i dyrektora Jasińskiego wisiał na włosku.

W niedługim czasie po premierze władze partyjne zdjęły go z tej dykcji, dostał tak zwanego kopa w górę i mianowano go dyrektorem Teatru Wielkiego w budowie. I w tej niepewnej sytuacji mojej sztuki, we wrześniu 1966 roku przyjechał z wizytą

Artur Rubinstein i mój starszy kolega z radia, kierownik działu muzyki poważnej Roman Jasiński, stary przyjaciel Rubinsteina, zaprowadzi go na moje „Derby w pałacu”. I w wywiadzie udzielonym reporterce „Expresu Wieczornego” na pytanie co widział w Warszawie mistrz odpowiedział: - *Widziałem w Teatrze Polskim sztukę Abramowa „Derby w pałacu” i bardzo mi się podobała.* To zdanie wielkiego pianisty bardzo wzmocniło niepewną sytuację sztuki. Dopiero w grudniu tego roku, po sześćdziesięciu sześciu przedstawieniach przy bitych kompletach na sali sztukę kazano wyciszyć. Tak to się wtedy nazywało. Bezpośrednią przyczyną zdjęcia „Derbów” z afisza było oddanie legitymacji partyjnej przez mojego Ojca po tak zwanej sprawie Leszka Kołakowskiego.



Karykatura Jarosława Abramowa-Newerlego narysowana przez Zofię Góralczyk z STS-u (żonę reżysera Jerzego Markuszewskiego), fot. arch. J. Abramowa-Newerlego

W dziesięciolecie polskiego Października 1956 Leszek Kołakowski wygłosił odczyt na Uniwersytecie Warszawskim, w którym w ostrych słowach potępił odejście ekipy Gomułki od ideałów socjalizmu z ludzką twarzą, za co został usunięty z partii. Władze powołały specjalną Komisję Partyjną na czele z Zenonem Kliszko, która puszczając taśmę z nagraniem tego przemówienia i kazała się pisarzom partyjnym do niego ustosunkować, oczekując

oczywiście potępienia Kołakowskiego. Po przesłuchaniu taśmy Ojciec odparł, że w zasadzie zgadza się z Kołakowskim.

Kołakowski nie powiedział nic nowego. – *Jak to!?* – obruszył się Kliszko i zaczął bronić polityki kulturalnej partii i systemu sprawiedliwości społecznej. – *A wie, towarzysz, ile kosztuje sprawiedliwość społeczna na Mazurach w powiecie mrągowskim, gdzie mam dom!?* – *Nie* – rzekł Kliszko. – *Pięćset złotych. Bo tyle wynosi łapówka, którą się daje sędziemu. I to wie każdy mieszkaniec we wsi.*

Tego było za wiele. Kliszko już tego nie wytrzymał: – *Niedaleko spada jabłko od jabłoni* – warknął zły przypominając sobie o moich „Derbach”. Ojciec zaś żeby uprzedzić decyzję partii sam złożył legitymację partyjną w Związku Literatów Polskich.

Opowiedziałem historię „Derbów w pałacu”, a Pani pytała mnie o sztukę „Maestro”.

Historia tej sztuki jest niezwykle interesująca. Rzeczy, które się działy wokół niej, wiele mówią o tamtych czasach. A powracając do późniejszej sztuki „Maestro”, Artur Rubinstein już nie zdążył jej obejrzeć.

Ale żył jeszcze w czasie gdy pisałem „Maestro” i czytałem jego pamiętniki. Jemu zresztą dedykowałem tę sztukę. Bohaterem jej był światowej sławy skrzypek Orland Steinberg, który w stanie

wojennym postanowił obchodzić swoje stulecie w Polsce, w której się urodził. Władze PRL pragną wykorzystać ten fakt propagandowo w celu zniesienia zachodnich sankcji dla Polski. Chcą jednak wizytę tę w pełni kontrolować. Mistrza zamierzają ugościć w pałacu w Wilanowie.

Czyli jest to już druga sztuka Pana, która rozgrywała się w pałacu.

No, właśnie. Był już taki precedens w rzeczywistości. Otóż gdy przyjechał z wizytą do Polski prezydent Francji generał Charles de Gaulle, I Sekretarz PZPR Edward Gierek kazał go umieścić w pałacu w Wilanowie. Edward Gierek w młodości był górnikiem w Belgii i jako jedyny przywódca w socjalistycznym obozie mówił po francusku. Jako ciekawostkę dodam, że słynna firma cukiernicza „Bliklego” wysłała generałowi do Wilanowa paczkę pączków. W czasie wojny bolszewickiej w 1920 roku młody major Charles de Gaulle był we francuskiej misji wojskowej w Warszawie i bardzo lubił jeść pączki w kawiarni „Bliklego” na Nowym Świecie.

W moim „Maestro” władze PRL zmieniają, na czas wizyty mistrza, dyrektora muzeum w Wilanowie i dają swojego człowieka wiadomych służb. Orland Steinberg pragnie się zobaczyć z dawnymi przyjaciółmi, których nazywa Ostatnimi Mohikanami. Wśród tych Indian jest pierwsza żona Orlanda,

słynna diva operowa Ksawera zwana Kseną. Mistrz przyjeżdża ze swoją piątą żoną, Eleonorą, emigrantką marcową. Rolę Kseny Kazimierz Dejmek powierzył Ninie Andrycz. W żartach mi powtórzył, że jak na pierwszej próbie aktorzy przeczytali tekst, to Nina Andrycz powiedziała: – *Panie dyrektorze. Ja nigdy w życiu nie grałam w epizodach.* – *Ależ pani Nino, to nie jest epizod!* – odparłem. – *Tylko co?* – *Duża rola* – odparłem. – *Jak to duża!? Nie ma mnie zupełnie w trzecim akcie. Publiczność zdąży o mnie zapomnieć.* I tu bestia miała rację. Tak więc, drogi autorze, musi Pan dopisać jej parę zdań w trzecim akcie, żeby mogła wyjść śmiało do ukłonów. Oczywiście chętnie się zgodziłem. I Nina Andrycz w trzecim akcie wychodziła w pięknym futrze od Mao-tse-tunga, które dostała w Pekinie od przywódcy Chin, podczas bratniej wizyty przyjaźni, ze swym mężem premierem Józefem Cyrankiewiczem i z dumą mówiła: – *Stara Warszawa to ja!* – zbierając gęste brawa.

Przed rozpoczęciem prób zaprosiła mnie do siebie do mieszkania w Alei Róż w Warszawie, żeby poprawić tekst, aby „stał się bardziej mowny” – jak powiedziała. Mimo, że uważałem siebie za specjalistę od dialogu te wszystkie jej drobne poprawki uznałem za słuszne. Miała świetny teatralny słuch. Głównego bohatera Orlanda Steinberga zagrał Ignacy Machowski. Był to znakomity aktor, tyle tylko, że miał nieszczęście zagrać rolę Lenina, do którego był bardzo podobny. Dejmek jednak obiecał, że go się ucharakteryzuje i nie będzie znać tego podobieństwa. I

rzeczywiście. Z włosami i siwą, krótką brodą Ignacy Machowski wyglądał jak Hemingway.

Na koniec powiem Pani rzecz niezwykłą. Otóż w kilkanaście lat od premiery „Maestro” Alina Janowska zaprosiła mnie do Szkoły Muzycznej na Żoliborzu w Warszawie, którą jako radna się opiekowała. I tam podeszła do mnie pewna pani i powiedziała: – *Pan mnie sobie nie przypomina. Jestem żoną Igo Machowskiego. Maestro w Pana sztuce!* – *Ach, oczywiście* – potaknąłem przypominając sobie, że Machowski się w tym czasie ożenił. – *No, właśnie. A to jest jego córka. Bardzo utalentowana skrzypaczka, która wystąpi niedługo z koncertem w Filharmonii Narodowej* – przedstawiła mi młodą dziewczynę. I co Pani na to, pani Joanno!? Rola wielkiego skrzypka to sprawiła? Nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

To rzeczywiście niezwykła opowieść.

Jarosław Abramow-Newerly, „Ja, ty, oni”, 1975 r., słuchowisko radiowe

Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomniała, że w latach 70. otrzymał Pan nagrodę Teatru Telewizji, w którym pracowała w redakcji repertuaru, organizując konkursy, prowadząc biuletyn Teatru TV. Mówiła, że kiedy ogłaszany był konkurs na sztukę teatralną, Pana sztuki zawsze znacząco się wyróżniały na tle innych

przysyłanych tekstów, od razu się czuło, że są napisane i przemyślane przez znakomitego dramaturga. Jak przypomina Pan sobie ten czas?

Z panią Aleksandrą Ziółkowską-Boehm rzeczywiście poznałem się w Telewizji w Warszawie kilka miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego. W 1967 roku napisałem dwie jednoaktówki „Zebek” i „Wrotek” według opowiadań Marka Nowakowskiego pod tym samym tytułem. Połączyłem je w całość pod wspólnym tytułem „Swojacy”. Agnieszka Osiecka dopisała piosenkę. „Swojakami” zainteresował się Janusz Warmiński, dyrektor Teatru „Ateneum” i chciał wystawić ich na małej scenie swego teatru. Bardzo się z Markiem ucieszyliśmy. Po pewnym czasie zaprosił mnie do teatru i ze smutną miną oświadczył, że nie uzyskał zgody z Urzędu Miasta na wystawienie tej sztuki. Bardzo żałowałem, bo mogło to być dobre przedstawienie. W czasie pierwszej „Solidarności” Telewizja zainteresowała się „Zebkiem” i chciała go zagrać w swoim teatrze. Otrzymał chyba nawet jakąś nagrodę. Wszystko przekreśliło wprowadzenie stanu wojennego. A z panią Aleksandrą później spotkałem się w Toronto, gdzie przebywała na stypendium.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomniała też o procesie Melchiora Wańkowicza, w którym Pana ojciec występował jako świadek obrony. Proszę o tym opowiedzieć.

To jest właśnie jeden z pisarzy o lwim piórze w PRL. W 1964 roku opublikowany został krótki list trzydziestu czterech wybitnych pisarzy i intelektualistów, w tym Wańkowicza, do władz państwowych z apelem o zmianę polityki kulturalnej i złagodzenie działalności cenzury. List ten odczytany został w rozgłośni Radia Wolna Europa i stał się powszechnie znany. Wańkowicz oskarżony został o to, że przekazał ten list do RWE i pisał wrogie teksty szkodzące Polsce Ludowej. Wytoczono mu proces sądowy. Wańkowicz nie skorzystał z adwokata i sam się bronił. Poprosił też na świadka obrony swojego Ojca. Tata w swoim wystąpieniu jako jedyny na sali stanął po jego stronie. Powiedział, że posadzenie na ławie oskarżonych wybitnego pisarza w kajdankach między dwoma milicjantami nie jest dobrym pomysłem i nigdy jeszcze nie przyniosło pożądanych efektów. I im wcześniej Melchior Wańkowicz zostanie zwolniony tym lepiej. Bo nikt jeszcze nie wygrał z człowiekiem pióra. Obok Ojca wystąpili jeszcze pisarze Kazimierz Koźniewski i Bohdan Czeszko i potwierdzili zarzuty stawiane oskarżonemu. Wańkowicz zaprzeczał kontaktom z Wolną Europą i twierdził, że list 34 krążył po Warszawie i mógł być przekazany przez kogoś innego. Po swoim uwolnieniu (dostał wyrok w zawieszeniu) był niezwykle wdzięczny Ojcu za jego obronę na procesie i niemal do końca życia na swoje imieniny zapraszał Ojca na litewską nalewkę robioną przez siebie.

W 1985 roku wyjechał Pan wraz z żoną Wandą biologiem z

doktoratem z wirusologii do Kanady, gdyż żona dostała tam pracę. Zostawił Pan za sobą artystyczne środowisko, budowane przez wiele lat, kontakty, całe swoje zawodowe życie. Wydawałoby się, że trudno będzie Panu odnaleźć się na emigracji. Ale nie, do satyryka, dramaturga, kompozytora doszła jeszcze jedna profesja - pisarza. Zajął się pan tematem Polaków na emigracji, a umiejętności prozatorskie okazały się kolejnym Pana talentem. Powstały takie książki jak „Kładką przez Atlantyk”, „Pan Zdzich w Kanadzie”, czy historia rodziny Wawrów - polsko-ukraińskich emigrantów w Toronto w książce „Nawiało nam burzę”. Powiedział Pan kiedyś, że dzięki emigracji, stał się Pan prozaikiem.

Rzeczywiście tak się stało. W kraju byłem przede wszystkim satyrykiem i dramatopisarzem. Do 1975 roku podpisywałem się tylko Jarosław Abramow, chcąc się odróżnić od mojego Ojca. Ale kiedy miałem już swoją własną ustaloną pozycję literacką spytałem Ojca, czy mogę użyć drugiego nazwiska Newerly. Ojciec bardzo się ucieszył i zażartował: - *A ja myślałem, synu, że ty się mnie po prostu wstydzisz?* W ten sposób podkreślona została tradycja rodzinna. Moja Żona Wanda, która po doktoracie z wirusologii pracowała w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie otrzymała propozycję pracy w Kanadzie najpierw na Uniwersytecie w Kingston, a potem w Toronto. Byliśmy oboje bardzo zmęczeni stanem wojennym i postanowiliśmy trochę

odetchnąć świeżym powietrzem w Kanadzie pachnącej żywicą. Znałem ją tylko z książek podróżniczych Arkadego Fiedlera. W Kingston przebywała młodsza siostra Wandy, Danuta Kozbór - Fogelberg, która po doktoracie przeniosła się do Filadelfii i pracowała w słynnym Wistar Institute kierowanym przez naszego rodaka, wynalazcę doustnej szczepionki przeciw polio, chorobie Heine-Medina profesora Hilarego Koprowskiego.

Do Kanady wyjechaliśmy sami zostawiając u Babci Heleny Kozbórowej naszą małą córeczkę Marysię. Po roku Babcia Helena z Marysią do nas przyjechała. Nie zamierzaliśmy długo zostać w Kanadzie. Jak laboratorium Wandy prowadzone przez profesor Johna Roderę przeniosło się z Kingston do Toronto, pozostawała sprawa mieszkania. I w jego znalezieniu pomógł mi STS.

W jaki sposób?

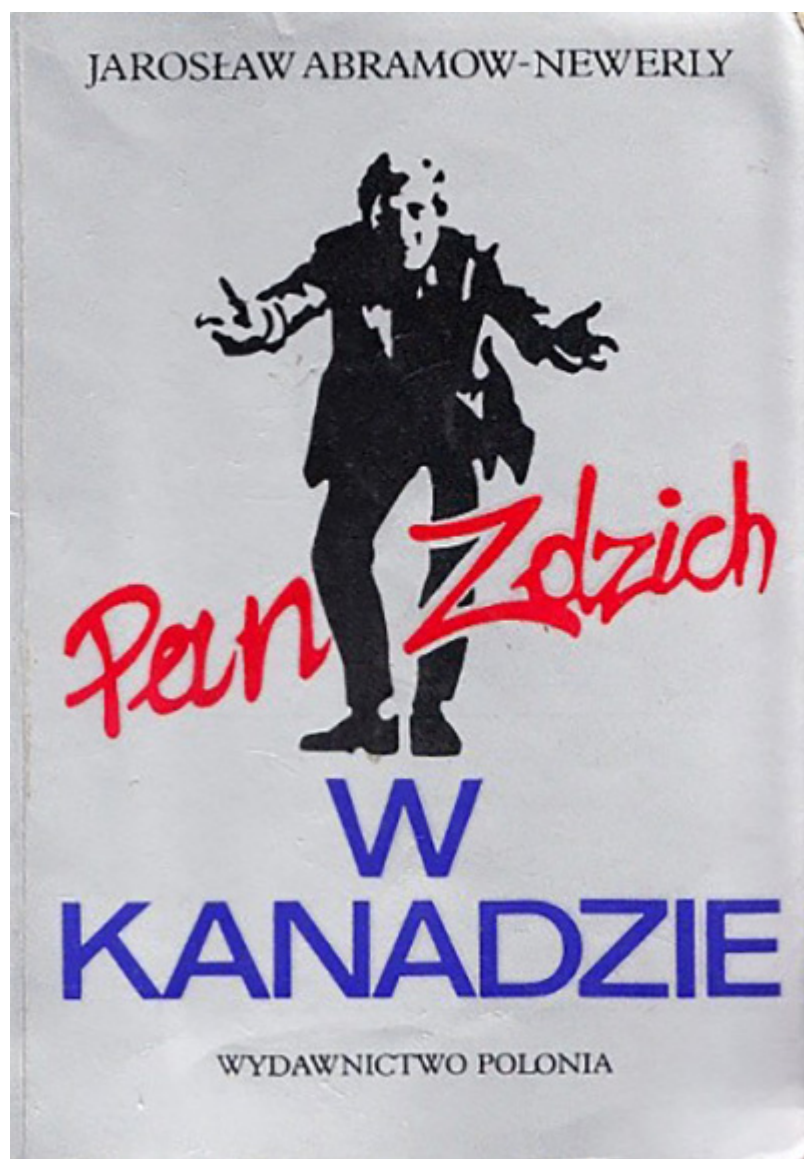
Bardzo prosty. Znany reżyser Tadeusz Jaworski, którego mi polecił Janusz Warmiński, jak wyjeżdżałem do Kanady, powiedział mi, że Krzysztof Topolski bardzo chce mnie zobaczyć. - Nie znam żadnego Krzysztofa Topolskiego - odparłem - Ale on mówi, że ciebie zna z STS-u. Umówiłem się z Topolskim. Na spotkanie stawił się młody, przystojny człowiek i przedstawił się. - Pan o mnie nie słyszał, ale ja jestem bratem Marysi Wichrzyckiej, żony Wojtka Wichrzyckiego. A ich pan z STS-u

dobrze zna! - Oczywiście. A oni są tu? - Jak najbardziej. Zaraz Pana do nich zaprowadzę. Wojtek Wichrzycki pracował u nas w STS-e w brygadzie technicznej, z zawodu był inżynierem i powszechnie był lubiany. Spadli więc mi jak z nieba.

Ucałowaliśmy się z Wojtkami serdecznie - Ja zmieniłem tu swoje trudne do wymówienia przez Kanadyjczyków polskie nazwisko Wichrzycki na Topperman, rodowe nazwisko rodziców Marysi - śmiał się Wojtek - W Toronto jest wielki przedsiębiorca Tepperman i często mnie z nim mylą - powiedział. Wojtek był jedynym chyba Polakiem, który ze względu na pochodzenie żony zdecydował się pozostać za granicą, a pracował wtedy jako inżynier drogowy w Iraku i chciał zaprotestować w ten sposób przeciw antysemitkiej nagonce prowadzonej w Polsce przez generała Moczara.

*Wracając do mojego mieszkania, to Krzysztof Topolski postanowił się tym zająć. Sam pracował jako sprzedawca używanych samochodów w *Automotiv Clearance Center* i miał wielką siłę przebicia. Dowiedział się, że pracownikom Uniwersytetu w Toronto przysługuje duży blok mieszkalny, gdzie mieszkania są ulgowe. Ponieważ laboratorium badawcze Johna Roderera w *Mount Sinai Hospital* należało do Uniwersytetu, Wandzie to mieszkanie w pełni przysługiwało. Udaliśmy się razem z Krzyśkiem do administracji tego domu i Krzysiek ze swadą przedstawił mnie jak przyszłego laureata Nagrody Nobla, a Wandę jako Marię Skłodowską-Curie. Oczarowana jego*

elokwencją administratorka, pani Nicolson, bez trudu nam to ulgowe mieszkanie przyznała. W ten sposób zamieszkaliśmy w dużym wieżowcu przy 35 Charles Street. Zaraz po naszym wprowadzeniu zapukał do naszych drzwi młody człowiek, który przedstawił się: - *Nazywam się Jerzy Barankiewicz. Słyszałem, że do tego mieszkania sprowadzili się Polacy. Jeżeli mogę Państwu w czymś pomóc to służę swoją osobą. Proszę się nie krępować* - zaoferował się. Tak poznałem Jurka Barankiewicza, doktora biochemii, z którym do dziś jestem w wielkiej przyjaźni.



Zacząłem chodzić na lekcja angielskiego, które prowadzone były za darmo w domu parafialnym przy kościele na Charles Street. Tam poznałem przebojowego młodego Polaka, który bardzo narzekał na niską zabudowę domów w Toronto: - *To domki jak z westernu, proę pana* - mówił z wyższością. Współpracowałem już wtedy z polonijną gazetą „Związkowiec”, gdzie pod pseudonimem pisałem felietony i przyniosłem artykuł o tym młodym człowieku, którego nazwałem Zdzichem. Tekst ten bardzo się w redakcji spodobał i Robert Długoborski, którego znałem jeszcze z radia w Warszawie, zaproponował, żebym pisał tak dalej. W ten sposób w tygodniowych odcinkach powstał „Pan Zdzich w Kanadzie”, którego pisałem pod pseudonimem Marian Radomski. I na spotkaniu świątecznym w „Związkowcu” podszedł do mnie działacz Związku Polaków w Kanadzie i spytał: - *Pan Radomski?* - *Tak* - odparłem ze śmiechem. - *Ja jestem też Radomski* - oświadczył - *Panie! Co ja mam przez tego Pańskiego „Pana Zdzicha”!* *Wszyscy myślą, że ja go piszę.*

Muszę przyznać, że cała redakcja „Związkowca” zachowała się bardzo ładnie i nikomu nie zdradziła, że to ja go piszę. Konspiracja więc była pełna. Miałem polski paszport i nie chciałem zrywać więzi z Krajem. Przy pisaniu tej książki wykorzystałem wszystkie swoje satyryczne doświadczenia jako autor STS, dlatego jest pełen humoru. Ale do głowy mi nie przyszło, że dosłownie za parę lat, w 1989 roku, dojdą w Polsce i na świecie takie zmiany, że będę go mógł podpisywać swoim

nazwiskiem i będzie nadawany w Kraju w popularnej audycji radiowej „Cztery pory roku” w znakomitej interpretacji Mariana Kociniaka. To w 1986 roku było nie do pomyślenia.

Na emigracji powstała również doskonała trylogia biograficzna „Lwy mojego podwórka”, „Lwy wyzwolone” i „Lwy STS-u”. „Lwy mojego podwórka” to jedna z lepszych książek o powstaniu warszawskim, jakie czytałam w życiu. To historyczne wydarzenia pokazane z perspektywy dziecka. Pojawia się tam m.in. postać rotmistrza Witolda Pileckiego, który uratował życie Pana mamie i Panu. Proszę o tym opowiedzieć.

Początek „Lwów mojego podwórka” miał też w „Związkowcu”, gdzie napisałem duży tekst „Moja III Kolonia”. Potem podczas pisania mojej polsko-ukraińskiej sagi „Nawiało nam burzę” bohater książki Leszek Wawrów gorąco mnie namawiał, żebym napisał swoją autobiograficzną książkę. I tak prawie równoległe do powstania „Nawiało nam burzę” ukazały się w 2000 roku w Wydawnictwie „Twój styl” „Lwy mojego podwórka”.

Książka miała bardzo duży odzew czytelnicy. Zwłaszcza na Żoliborzu. Dyrektor Wydawnictwa Andrzej Rosner mówił mi, że z biblioteki na Żoliborzu zadzwoniono do niego z prośbą o drugą książkę „Lwów”, bo w bibliotece ustawiają się do niej kolejki. Żył jeszcze wtedy dużo moich kolegów z podwórka. Dziś żyją już

tylko ja i Krystyna Brzezińska Lindenberg. Mało coś nas, kurka wodna. Powtarzam za Ryśkiem Praczem.

Wracając do Pani pytania to w 2000 roku jedynie nieliczni ludzie w Polsce wiedzieli kto to jest Witold Pilecki. Syn Witolda Pileckiego, mój kolega Andrzej Pilecki przyszedł do mnie do domu podziękować, że wspomniałem o jego ojcu, przyniósł też fotografię ojca, którą zamieściłem w drugim wydaniu książki. Z czasem o Pileckim stało się głośno, i brytyjski reporter Jack Fairweather wydał o nim książkę w 2019 roku pod tytułem „The Volunteer”. W 2020 roku ukazało się polskie wydanie tej książki zatytułowane „Ochotnik” w wydawnictwie „Znak”. Spotkałem się parokrotnie z Jackiem Fairweatherem, opowiedziałem mu w jakich okolicznościach poznałem Witolda Pileckiego.

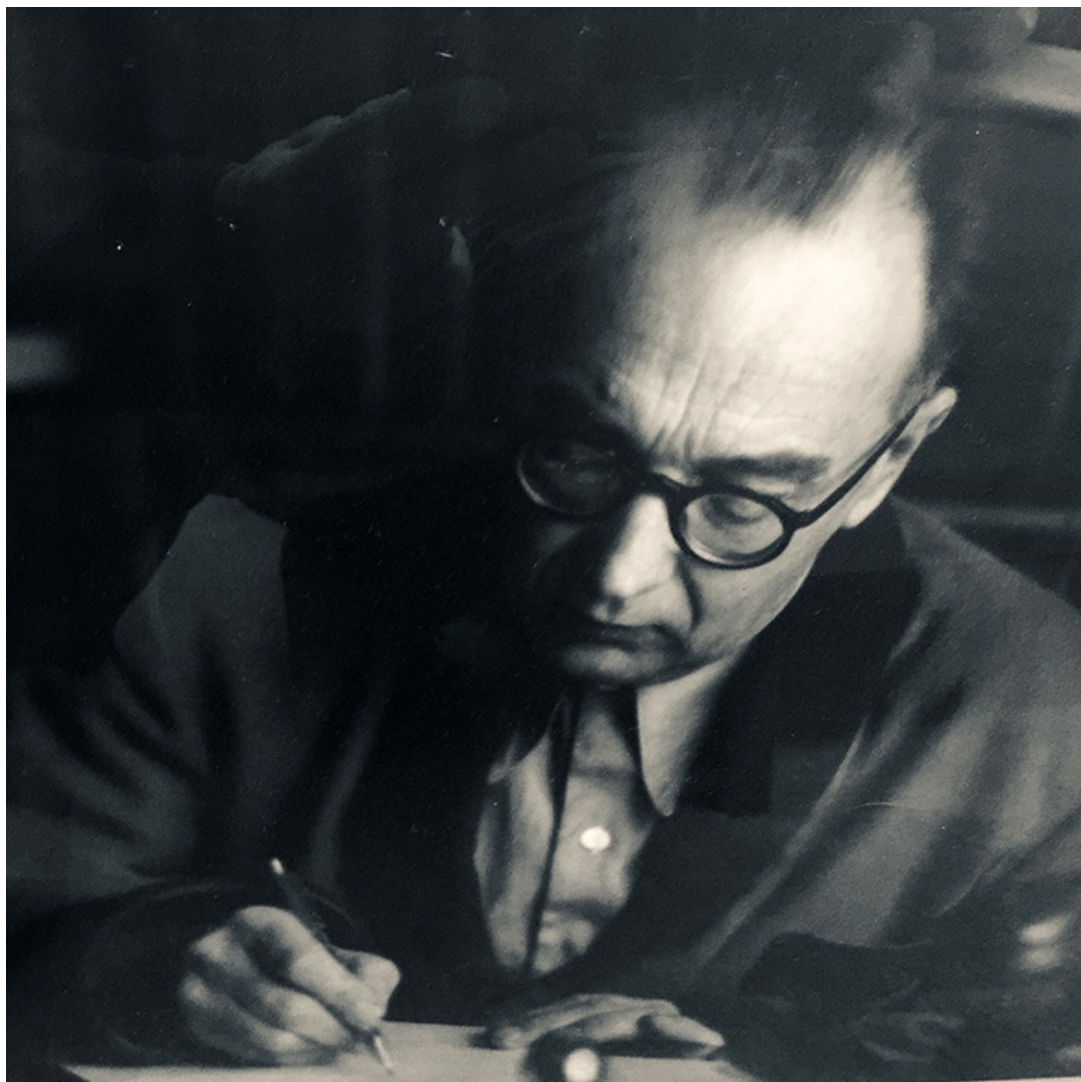
W 1943 roku, już po aresztowaniu mego Ojca i osadzeniu Go w obozie koncentracyjnym na Majdanku, zjawił się u nas żydowski szmalcownik, który przedstawił się jako przyjaciel Lejzora Czarnobrody, którego mój Ojciec pomógł ukryć na wsi, za co w 1983 roku przyznano mu Drzewko Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Jerozolimie. Otóż szmalcownik ten zaczął moją Mamę szantażować, że jeżeli nie otrzyma odpowiedniej sumy pieniężnej to nas wyda na Gestapo, bo jemu jest już wszystko jedno. Zdenerwowana Mama pobiegła do naszych przyjaciół na III Kolonii Aleksandry i Aleksandra Palińskich, gdzie przychodził na obiady Major, czyli Witold Pilecki i

opowiedziała mu o tym. Pilecki uspokoił ją i przyrzekł, że się tą sprawą zajmie. I rzeczywiście zajął się, bo od tej pory ten szmalcownik do nas przestał przychodzić. Najpewniej został zlikwidowany.

Po wojnie w 1948 roku zgłosiła się do mojej Mamy kobieta, która przedstawiła się jako przyjaciółka Witolda Pileckiego i błagała Mamę, żeby pomogła załatwić prawo łaski u Bolesława Bieruta, tak, żeby Witold Pilecki uniknął kary śmierci. Mama nie знаła Bieruta, ale przed wojną jako panna wynajmowała mieszkanie u Janiny Bierutowej, pierwszej żony Bolesława Bieruta. Jako nauczycielka śpiewu w szkole RTPD uczyła też dwoje dzieci Bolesława Bieruta Isię i Janka. Zabawne też było, że Bierutowa skarżyła się Mamie, że Bolek, który przebywał wtedy w Moskwie, zdradza ją z niejaką Małgorzatą Fornalską. W tym mieszkaniu u Bierutowej na II Kolonii WSM składał wizyty Mamie mój Ojciec.

Po Jego wyjściu Bierutowa powiedziała do Mamy: *- I na co pani Panno Basiu taki stary mąż? Młoda, ładna panna może sobie poszukać młodszego.* Mama się roześmiała. Ojciec wtedy miał dwadzieścia siedem lat. Ale zapuścił brodę, nosił długie włosy i wyglądał bardzo poważnie. Mama kazała Ojcu zgolić brodę i jak następnym razem przyszedł do Mamy to zdziwiona Bierutowa powiedziała: *- No, tak. Teraz widzę, że to młody człowiek.* Ja też Janinę Bierutową znałem, bo była u nas w przedszkolu RTPD woźną. Zapamiętałem ją jak chodzi z kubłami i szczotką, a za nią

biegną nasze przedszkolne dwa psy Morus i Totka. Mama postanowiła natychmiast pójść do Bierutowej i przedstawić jej sprawę Pileckiego. Bierutowa nie była już woźną w przedszkolu tylko wysoką inspektorką w ministerstwie Oświaty. Przyjęła Mamę bardzo serdecznie i obiecała pomóc. Kiedy następnym razem Mama się z nią spotkała powiedziała ze smutkiem: - *Niestety pani Basiu nic mi się nie udało zrobić. Bolek odparł, że to jest sprawa polityczna i nie skorzysta z prawa łaski.* Tak więc niezłomny rotmistrz Witold Pilecki został rozstrzelany w 1948 roku. Jego kroki na dziedzińcu, jak prowadzą go do celi śmierci słyszał inny więzień Mokotowa, mój przyjaciel Janusz Krasieński, który opisał to w książce „Na stracenie”.



Tata, Igor Newerly, fot. Piotr Kirnarski

W magazynie „Culture Avenue” opublikował Pan dwa fragmenty książki „Ich lwi pazur” o polskim środowisku literackim. Czy może Pan coś więcej powiedzieć o tej książce?

Teraz zmieniłem ten tytuł na „Piórem, z lwim pazurem”. W tej książce wspominał moich przyjaciół pisarzy mojego pokolenia: Włodzimierza Odojewskiego, Janusza Krasińskiego, Marka Nowakowskiego, Jerzego Sito, Andrzeja Jareckiego, Władysława Terleckiego, Kazimierza Orłosa, Jerzego Krzysztonia i wielu

innych. Oprócz ich portretów starałem się pokazać jak wielką rolę w PRL odegrała mała sala Związku Literatów Polskich w Warszawie w walce o niezależność ludzi pióra i wolność słowa. Książka zaczyna się w 1960 roku z chwilą mojego przyścia do radia, a kończy się teraz. Z perspektywy czasu widzę, że wielu pisarzy pokazało władzom partyjnym taki lwi pazur, dość że wspomnę tu chociażby Janusza Szpotańskiego, który za swoją bezkompromisową szopkę satyryczną na ekipę rządową Władysława Gomułki odsiedział trzy lata więzienia. Bardzo dokładnie opisuję w tej książce moją pracę w Polskim Radio, które przeżywało wtedy swój złoty okres. Wtedy narodziła się polska szkoła słuchowiska radiowego. Moja książka wciąż znajduje się w redakcji u redaktora Huberta Musiała, ale myślę, że w tym roku wyjdzie w wydawnictwie PIW.

Ukazały się też pana wspomnienia o wyjazdach z ojcem na wakacje p.t. „Mój dąb w Suwałkach”. Jednocześnie w 2019 r. wyszła książka Marka Boruckiego „Wybitne dzieci sławnych Polaków”, w której jest rozdział o Pana ojcu Igorze Newerlym i Panu. Jakie relacje łączyły Pana z ojcem? Czy był on dla pana wzorcem literackim?

Bardzo ciekawa książka Marka Boruckiego sprawiła mi ogromną radość. Znaleźć się wśród dwudziestu czterech rodów tak sławnych Polaków jak Aleksander Fredro, Stanisław Moniuszko, Zofia Nałkowska, Jacek Malczewski, Józef Chełmoński, Józef

Conrad - Korzeniowski czy Stanisław Wyspiański to prawdziwy zaszczyt. Jestem w tej książce jedynym żyjącym wybitnym dzieckiem. Marek Borucki pokazuje w swej książce, jak trudno jest udźwignąć dzieciom ciężar sławy swoich wielkich ojców. Doświadczyłem tego sam na sobie dlatego tak dobrze rozumiem świętego malarza Rafała Malczewskiego, który pędzłem starałem się odróżnić od swojego sławnego ojca. Ja, jak już wspomniałem, nie używałem nazwiska mojego Ojca to 1975 roku. W poczuciu własnej wartości uratował mnie teatr STS i dramaturgia radiowa i teatralna. To była moja mała wyspa ocalenia.

Przygotowując nasze spotkanie rozmawiałam z prezes Fundacji PAW (Polish Artists in the World) - Henryką Mielczanowską, która jest kuratorem wystawy Edwarda Barana - artysty mieszkającego we Francji. Opowiadała, że Edward Baran wielokrotnie wspominał STS, cytując z pamięci teksty i śpiewając piosenki. Czy Pan go pamięta?

No jakżesz. Oczywiście. Wiedziałem, że wyjechał do Francji. Wysoki blondyn. Przez wiele lat pracował w STS-e i był bardzo lubiany. Zaprzyjaźniony z Wojtkiem Wicherzyckim, o którym wspomniałem. Pozdrawiam Cię najmocniej kochany Edziu i ogromnie się cieszę, że się odezwałeś.

W rozmowie, którą wykorzystałam w książce „Teatr spełnionych nadziei” powiedział Pan: - W Toronto mam

taką swoją polską wysepkę. Zauważyłem, że czym jestem starszy tym bardziej się izoluję. Nie mam ochoty wyjść na imprezę, gdy np. jest brzydka pogoda. W domu mam warunki, spokój i dobrze mi. W Warszawie ciągle coś mnie rozprasza, spotkania, wizyty, promocje. A tu mam cały dzień dla siebie, wyprowadzam tylko psa i piszę. Czy nadal Toronto, to Pana wyspa?

Tak. Mam tylko do dodania to, że wierny przyjaciel moich codziennych spacerów, pies corgy, nazwany na cześć Franka Sinatry, którego piosenki Wandzia uwielbiała, zmarł niestety w marcu 2020 roku w sędziwym psim wieku piętnastu i pół lat. Kiedy w klinice weterynaryjnej na pytanie jak się nazywa pies Wandzia mówiła: - *Franky. Jak Frank Sinatra*, wzbudzała tym zawsze salwy śmiechu. Franek był bardzo popularny w wieżowcu, w którym mieszkam. Jak sąsiedzi zobaczyli mnie samego zaraz pytali - *A gdzie Franky?* Gdy odpowiadałem, że nie żyję głęboko mi współczuli. Teraz jestem sam na mojej wyspie i jedynym ratunkiem jest pisanie.

31 stycznia 2021 roku odbyło się spotkanie z Jarosławem Abramowem-Newerlym przez platformę Zoom w ramach Klubu Historyka Austin Polish Society w Teksasie. Obecny wywiad utrwala oraz uzupełnia to, o czym rozmawialiśmy podczas spotkania (Joanna Sokołowska-Gwizdka).

*„Bohdan, Bohdan trzymaj się”, słowa i muzyka Jarosław
Abramow-Newerly, śpiewa Bohdan Łazuka*

Część 1:

Złączył nas czas. Część 1.

Zobacz też:

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

Złączył nas czas. Część 1.

**Rozmowa z Jarosławem Abramowem-Newerlym,
kompozytorem, satyrykiem, dramatopisarzem, pisarzem - o**

ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które pozostały w pamięci.



Jarosław Abramow-Newerly, fot. Marek Nowicki

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *(Austin, Teksas)*

Z Pana wszechstronną twórczością zarówno poetycką, jak i kompozytorską zetknęłam się podczas spektaklu Salonu Poezji, Muzyki i Teatru Marii Nowotarskiej pt. „Dopóki śpiewam ja” w 2002 r. Do Toronto, które miało stać się moim nowym emigracyjnym domem, przyjechałam w 2001 roku. Jakim więc szczęściem było dla mnie odkrycie, że w

Kanadzie są nie tylko wybitni polscy twórcy, ale i polskie gazety. Mając doświadczenie zarówno akademickie, jak i dziennikarskie mogłam natychmiast włączyć się w nurt twórczości polskiej poza krajem. Spektaklem byłam oczarowana. Znałam wykonywane na scenie w Toronto wielkie przeboje, wiele razy słyszałam je w Polsce, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to Pan jest autorem większości z nich, zarówno tekstu, jak i muzyki. Znamy dobrze wykonawców, bo to z nimi mamy bezpośredni kontakt, a autorów mniej. Jak to jest, kiedy utwór, który się stworzyło, wchodzi na stałe w powszechny obieg, będąc zapisem i ikoną pewnego czasu? Co czuje wtedy autor?

Jarosław Abramow-Newerly: *(Toronto)*

Ilekcroć słyszę, że jestem znanym autorem, to przypomina mi się opowieść mojego Ojca Igora Newerlego, który opowiadał, jak w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku wysyłano pisarzy w teren na wieczory autorskie. I na jednym takim wieczorze w dużej hali fabrycznej organizator tego spotkania, działacz kulturalno-oświatowy zaprezentował Ojca tak: - *Witamy sławnego pisarza,* po czym nachylił do Ojca i szeptem spytał: - *Przepraszam, a jak nazwisko?* Od tej pory z tą pisarską sławą jestem ostrożny.

Ale wracając do Pani pytania w sprawie piosenek to na pewno najbardziej cieszyłem się kiedy usłyszałem w radio moją piosenkę, gdy byłem bardzo młody, jak i teraz kiedy jestem

bardzo stary. Miło mi bowiem, że te piosenki wciąż żyją i są śpiewane, chociaż niektóre z nich liczą sobie ponad pół wieku. I ma Pani absolutną rację, że na ogół znamy piosenkę, a nie wiemy kto ją stworzył. Powiedziałbym nawet, że im piosenka jest bardziej znana tym bardziej staje się własnością ludu i jest anonimowa. Przykładem pieśń harcerska i biesiadna „Płonie ognisko i szumią knieje”. Wszyscy ją znamy, a mało kto wie, że jej autorem jest poeta Jerzy Braun, stryj reżysera i pisarza Kazimierza Brauna.

Pisząc książkę o scenie polskiej w Toronto „Teatr spełnionych nadziei” poznałam też z nagrań wcześniejszy spektakl poświęcony Pana twórczości „Bo ja tak mówiłem żartem” z 1996 r. Jak Pan wspomina te dwa Pana benefisy w Toronto i czym zaowocowały?

Tę Pani książkę uważam za niezwykle cenną. Ocala bowiem pamięć o wspaniałej działalności Marii Nowotarskiej i stworzonego przez Nią Salonu Poezji, Muzyki i Teatru. Maria Nowotarska ułożyła z moich piosenek dwie rewie i wystawiła je niezwykle profesjonalnie. Te spektakle były na tyle udane, że publiczność była pewna, że w tym kształcie przeniesione zostały z jakiegoś teatru w Warszawie, tymczasem było to oryginalne dzieło reżyserskie Marii Nowotarskiej. Jako aktorka brawurowo odśpiewała i odtańczyła moją piosenkę: – *Jestem wiecznie młoda koza, nie mimoza, nie skleroza, chociaż kończę dziewięćdziesiąt*

dziewięć lat! Do stu lat brakuje roczek, śpiewając go przeskoczę, ale błagam ja nie lubię takich dat! Na potrzeby tych rewii napisałem specjalnie walca na koloraturowy sopran Marii Knapik-Sztramko, która w tej rewii z powodzeniem wystąpiła, a także „Marsza Don Kichotów”, którego sam zaśpiewałem. Tekst tego marsza szczęśliwie zacytowała Pani w swojej książce dzięki czemu ocalał.

„Dopóki śpiewam ja”, słowa i muzyka Jarosław Abramow-Newerly, śpiewa Jerzy Połomski

Polem realizacji Pana talentu zarówno kompozytorskiego, jak i jako autora tekstów piosenek oraz skeczów stał się słynny Studencki Teatr Satyryków - kuźnia talentów, z którym był Pan związany od 1954 do 1969 roku. STS był antidotum na socjalistyczną rzeczywistość, wentylem bezpieczeństwa dla młodych, zdolnych, pełnych pomysłów ludzi. Pana twórczość z okresu STS-u znalazła się w publikacji „Myślenie ma kolosalną przyszłość” (1957).

To była debiutancka książka zawierająca teksty z STS-u moje, Agnieszki Osieckiej, Andrzeja Jareckiego i Witolda Dąbrowskiego. Tytuł pochodził z nazwy jednego z naszych programów i zrobił taką karierę, że stał się potocznym powiedzeniem i zawędrował do książki Henryka Markiewicza i Anrzeja Romanowskiego „Skrzydlate słowa”.

O tym czasie napisał Pan piękną książkę „Lwy STS-u”, w której opowiada Pan o historycznych już postaciach i opisuje wiele bardziej lub mniej znanych wydarzeń. Jakby teraz, po latach, podsumował Pan to, co dał Panu STS?

STS mnie uformował jako satyryka, kompozytora i aktora. We wczesnej młodości chciałem zostać aktorem. Nawet przygotowywałem się w 1953 roku do egzaminu na PWST razem z moim kolegą ze szkoły Marianem Jonkajtysem. W ostatniej chwili stchórzyłem i nie poszedłem na egzamin. On zdał i został aktorem. Mnie zaś z aktorstwa wyleczył STS. Tam dużo grałem i śpiewałem w naszych operetkach. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że dużo lepiej jest pisać niż występować i mieć wieczory zajęte. Dużo większą satysfakcję dawało mi siedzenie na widowni i obserwowanie reakcji publiczności na moje utwory. Teatr jest okrutnym weryfikatorem tekstu. I albo publiczność klaszcze i się śmieje, albo milczy i chrząka ze znudzenia. Dzięki STS-owi uwierzyłem we własne siły. Odnalazłem własną wartość i przestałem być tylko synem sławnego Ojca. Podpisywałem się Abramow i nikt nie wiedział, że słynny pisarz Igor Newerly to mój Ojciec.

Mówił Pan, że mama miała talent muzyczny, a tata pisarski. Tata opowiadał Panu bajki, a mama śpiewała. Czy z domu wyniósł Pan tę wszechstronność?

Na pewno zdolności muzyczne odziedziczyłem po swojej Mamie. Ona była przed wojną nauczycielką śpiewu i główną śpiewającą aktorką kukielkowego Teatru „Baj”. Jeszcze jak byłem w wózku wspiewywała we mnie różne piosenki. Bardzo się zdziwiła, kiedy nagle, jeszcze nie mówiąc, powtórzyłem za nią znaną biesiadną piosenkę „Za dzień, za rok, za chwilę razem nie będzie nas”, pohukując w takt słów „uu uu uuu, uuuuu bu!”



Mama, pani Basia - Barbara z Jareckich, fot. arch. J. Abramowa-Newerlego

Mając pięć lat ułożyłem pierwszy swój utwór muzyczny „Galop koni” Opus 1, słowem zapowiadałem się na Mozarta. Niestety miałem bardzo duże kłopoty z czytaniem i pisaniem nut. I nic z tego nie wyszło. Ale miłość do pisania piosenek pozostała. I

rozkwitła właśnie w STS-e. Co śmieszniejsze do STS-u zaproszony zostałem jako kompozytor. Napisałem wtedy do tekstu wydrukowanego w „Po prostu” walca „Na UW, na UW, na UW – chcesz coś dostać, musisz postać dłużej tu!”, który był śpiewany przez naszą studencką polonistyczną grupę. Na jakiejś wieczornicy podszedł do mnie Marek Lusztig i powiedział: – *Słyszałem, że skomponował kolega walca. Może przyjdzie kolega na próbę do naszego Studenckiego Teatru Satyryków.* I tak w marcu 1954 roku dołączyłem do grupy STS-u przyprawiając ze sobą z kolei moich przyjaciół z polonistyki Andrzeja Jareckiego i Witolda Dąbrowskiego. Na pewno to, że zostałem kompozytorem w dużym stopniu zawdzięczam naszemu niezapomnianemu kierownikowi muzycznemu Markowi Lusztigowi, który tych moich amatorskich kompozycji nie wyśmiał, tylko poważnie potraktował. Dzięki Niemu uwierzyłem w swoje kompozytorskie możliwości i z radością komponowałem piosenki i operetki. Miałem wrodzony dar układania chwytliwych melodii. Byłem jednak tak zwanym kompozytorem gwizdany. Tego określenia zwykł używać Władysław Szpilman, z którym jako literat pracujący w radio, zasiadałem w komisji oceniającej nadsyłane piosenki. Szpilman siadał do pianina i przegrywał zgłoszoną fortepianówkę. Jak była napisana z błędami zwykł mawiać: – *To jest kompozytor gwizdany. Musi się trochę jeszcze pouczyć* – i dyskwalifikował utwór.

W 1961 roku napisałem dla STS-u muzykę do przedstawienia

„Oskarżeni” Andrzeja Jareckiego i Agnieszki Osieckiej. W sumie dwanaście piosenek, które brawurowo zaśpiewali Alina Janowska i Wojciech Siemion. Z „Oskarżonych” pochodzą takie znane piosenki jak „Widzisz mała jak to jest”, „Polka kryminalna” czy „Ballada o Chmielnej” Agnieszki Osieckiej. Zaprosiłem na premierę Władysława Szpilmana. Po przedstawieniu uścisnął mi rękę i powiedział: - *No, panie Jarku. Muzyka się Panu udała. Gratuluję.* - *To właśnie ja jestem tym kompozytorem gwizdany, panie Władysławie* - odparłem. Szpilman się zaśmiał i powiedział: - *Czasem zdarzają się wyjątki.*



Jarosław Abramow-Newerly z Agnieszka Osiecką, w głębi w głębi aktor Marian Kubera, fot. Sławomir Biegański, z arch. J. Abramowa-Newerlego.

Pana doświadczenie jako satyryka zaowocowało powstaniem szeregu jednoaktówek, spektakli teatralnych, słuchowisk radiowych, sztuk pisanych dla Teatru Telewizji. Poruszał w nich Pan problemy mitów społecznych, przemian obyczajowych, konfrontację tradycji z nowoczesnością. Pana sztuki takie jak „Derby w pałacu”, „Darz bór”, „Słowik Warszawy”, weszły już na stałe do kanonu literatury polskiej. Za sztukę „Anioł na dworcu” otrzymał pan nagrodę im. S. Piętaka (1965) i nagrodę fundacji im. Kościelskich (1967). Kazimierz Braun przypomniał, że reżyserował Pana sztukę „Żaglowce, białe żaglowce” w 1970 r. w doborowej obsadzie (Fijewski, Zaczyk, Rudzki) w Teatrze Telewizji, a potem sztukę „Klik, klak” w 1973 r. teatrze w Lublinie.

Oglądałem niedawno „Żaglowce, białe żaglowce” w finezyjnej i doskonałej reżyserii Kazimierza Brauna. Znakomicie tę sztukę obsadził. Przypomnę, że sztuka ta dotyczy spotkania po latach kolegów z jednej klasy, a ściślej dwóch przyjaciół. Głównego bohatera, w którego eleganckim mieszkaniu odbywa się to spotkanie, przezywanego w szkole Gruchą oraz prymusa klasy Jędrusia Górniaka. Pierwowzorem „Żaglowców” był skecz z STS-u „Zjazd koleżeński”. W skeczu tym i w sztuce pada kwestia.

Jeden z byłych uczniów rozgląda się po klasie i mówi: - *Coś mało nas, kurka wodna*. Wtedy w skeczu to był żart. Teraz po latach smutna prawda. Czołowy aktor STS-u Ryszard Pracz do dziś lubi to zdanie powtarzać na wszystkich zjazdach STS-u. Ze znakomitej obsady „Żaglowców” żyją już tylko trzy osoby - ja, Kazimierz Braun i Irena Szczurowska, która była wtedy młodą, piękną dziewczyną. W tym spektaklu starego profesora Puchaczewskiego, przezywanego Puchaczem zagrał wielki polski aktor Kazimierz Opaliński. Miał on niezwykły dar w prosty sposób wywoływać wzruszenie.

Była to wtedy ostatnia jego rola w telewizji. Byłem na nagraniu tego spektaklu. Wówczas aktorzy grali na żywo i jak ktoś się pomylił, to trzeba było zaczynać od początku. Opaliński w swojej kwestii się pomylił i aktorzy musieli zacząć grać od nowa. Uczynili to bez szemrania z wielkiego szacunku dla swojego starszego kolegi, uznanego za swego mistrza. W pewnym momencie stary Puchacz wywołuje do tablicy byłego ucznia, obecnie majora Ludowego Wojska Polskiego i zaczyna pytać o lewe dopływy Wisły. Ten oczywiście nie pamięta. - *Lewe?* - próbuje zagadywać. - *Tak lewe* - odpowiada profesor. - *Ale licząc od gór czy od morza? To znaczy od dołu czy od góry?* - *Jak ci wygodnie. Byle były wszystkie* - mówi profesor. Rolę tę wybornie zagrał Henryk Borowski. Stał z baranią miną i strzygł uchem jak koledzy w ławkach mu podpowiadają. Najgłośniejsz podpowiadał obecny ksiądz, którego profesor musiał uciszyć.

Księżdz tego grał Lech Ordon, aktor o niezwykle dobrodusznym wyglądzie. Ilekroć się z Ordonem po latach spotykałem to zawsze wspominał: - *Pamięta Pan nasze „Żaglowce”?* To była sztuka! - wykrzykiwał.

Jedynym uczniem pamiętającym zasady moralne, których uczył stary Profesor był Jędrus, prymus klasy, którego wyśmienicie zagrał Tadeusz Fijewski. - *Kim jesteś teraz, Jędrus?* - pyta wzruszony profesor. - *Trzymam taksówkę, panie profesorze* - odpowiada Fijewski z bolesną miną. Dla Kazimierza Rudzkiego, który grał adwokata i u kolegi dyrektora generalnego, wysokiego działacza partyjnego, szukał poparcia, żeby wstąpić do Zbowidu, czyli Związku Kombatantów, musiałem dopisać rolę, bo nie chciał wystąpić w epizodzie. Cenzura nie puściła Zbowidu i musiałem go zastąpić Polskim Związkiem Kajakowym. Chciałem, żeby ten wysoki działacz partyjny był ministrem, ale to wówczas było niemożliwe. Nie mniej Witold Kałuski doskonale zagrał takiego zadowolonego z siebie dygnitarza.

Prawdziwą kreację w „Żaglowcach” stworzył Adam Mularczyk, aktor o diabolicznym wyglądzie i charakterystycznym głose, który wślawił się rolą konia w pamiętnym przedstawieniu „Czekając na Godota” Samuela Becketta w reżyserii Jerzego Kreczmara w Teatrze Współczesnym w Warszawie oraz rolą Profesora Pęduszki w Radiowym Teatrze „Eterek” Jeremiego Przybory. Adam Mularczyk w pewnym czasie zrezygnował z

aktorstwa i wraz żoną, naukowcem wirusologiem Zofią Wróblewską, koleżanką z pracy mojej Żony Wandy w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie, wyemigrował do Ameryki i osiadł w klasztorze Częstochowa pod Filadelfią. Tam założył teatr. Podczas okupacji pracował w teatrze razem z Karolem Wojtyłą.

Adam opowiadał mi, że jak kardynał Wojtyła przyjechał do Filadelfii i spotkali się razem, to przyszły papież wykrzyknął: - *Adam! Ty tu?* - *A ja odkrzyknąłem: - Lolek! Ty też tu?* - i rzuciliśmy się sobie w ramiona. Jeden z zakonników, który bardzo dokuczał w pracy Adamowi podszedł do niego i spytał z podziwem: - *Pan zna kardynała?* - *A ja odwróciłem się do niego i powiedziałem dwa słowa: - „Odpierdol się”!*

Adam był bardzo żywiołowy i dowcipny. Teraz gdy oglądałem ten wspaniały spektakl to nie mogłem się nadziwić jak głęboko poruszyliśmy z Braunem problem czasu. Byliśmy obydwaj młodzi, mieliśmy po trzydzieści parę lat i na własnej skórze nie przeżyliśmy problemu starości, o którym mówił profesor do swoich uczniów: - *Po coście tu przyszli. Złączył was czas! Ten największy hycel. Przeglądacie się jeden w drugim i sprawdzacie czy jeszcze żyje.*

W puencie sztuki taksówkarz Jędrus mówi do swojego kolegi, głównego bohatera: - *Zastanów się, Grucha, dlaczego ty zrobiłeś*

kariere, a ja nie!? I to jedno zdanie cenzura kazała mi wykreślić. Pojechałem do telewizji. Przyjęła mnie bardzo serdecznie dyrektor Teatru Telewizji Irena Bołtuć i w bardzo oględny sposób prosiła, żebym to zdanie usunął. – *Ależ pani Ireno? Bez tego zdania nie ma mojej sztuki!* – broniłem się. – *Ja świetnie rozumiem. Ale taki nakaz mamy z góry!* – argumentowała. W końcu doszło między nami do ugody i zostało skreślone jedno słowo, mianowicie „Nie”. Ale Fijewski tak to świetnie zagrał i machnął z rezygnacją ręką, że dla wszystkich było jasne dlaczego nie zrobił kariery w PRL. Był synem aptekarza w przeciwieństwie do Gruchy, Stanisława Zaczyka, który miał doskonałe pochodzenie społeczne. Dziś sądzę, że to jedno końcowe zdanie Irena Bołtuć puściła na własną odpowiedzialność. Wiem też, że po nadaniu spektaklu miała przykrości. Mianowicie zaprotestowało Ludowe Wojsko Polskie twierdząc, że w sztuce ośmieszyłem polskiego oficera.

Jarosław Abramow-Newerly, „Żaglowce, białe żaglowce”, reż Kazimierz Braun, 1970 r., Teatr Telewizji

Tak długo rozgadałem się o „Żaglowcach”, bo uważam ten spektakl za jeden z najlepszych w moim życiu i dziękuję za niego Kazimierzowi Braunowi. Potem w 1972 roku spotkaliśmy się razem w mojej sztuce „Klik-Klak”, którą Kazimierz Braun wyreżyserował jako dyrektor Teatru imienia Juliusza Osterwy w Lublinie. Warto przypomnieć, że z jego inicjatywy przystąpiono w Lublinie do budowy nowego gmachu teatru.

Po wystawieniu w stanie wojennym głośnego spektaklu „Dżuma” według książki Alberta Camusa Kazimierz Braun został pozbawiony dyrekcji Teatru Współczesnego we Wrocławiu i wyemigrował wraz z rodziną do Stanów Zjednoczonych. Tu został profesorem na Uniwersytecie w Buffalo. I szczęśliwy los zetknął go z Marią Nowotarską i Agatą Pilitowską, dla których napisał wspaniałe sztuki teatralne. „Helenę - rzecz o Modrzejewskiej”, „Tamarę L” o słynnej polskiej malarce Tamarze Łempickiej, dalej sztukę o Marii Curie-Skłodowskiej i aktorce Poli Negri, słowem o Polkach emigrantkach, które zrobiły światową karierę. Jednocześnie stał się na emigracji moim kolegą dramaturgiem. Dziwny los sprawił, że ja w Kanadzie z dramaturgiem przerodziłem się w prozaika, a on z reżysera w dramaturgiem.

31 stycznia 2021 roku odbyło się spotkanie z Jarosławem Abramowem-Newerlym przez platformę Zoom w ramach Klubu Historyka Austin Polish Society w Teksasie. Obecny wywiad utrwała oraz uzupełnia to, o czym rozmawialiśmy podczas spotkania (Joanna Sokołowska-Gwizdka).

Część 2:

Złączył nas czas. Część 2.

Zobacz też:

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)



„Dopóki śpiewam ja”, scena zbiorowa, w środku w koronie Jarosław Abramow-Newerly, fot. Jacek Kowalski

31 stycznia 2021 r. odbyło się spotkanie przez platformę Zoom z Jarosławem Abramowem-Newerlym, w ramach spotkań Klubu Historyka Austin Polish Society. Podczas wieczoru Pan Jarosław Abramow szalenie interesująco opowiadał o swojej pracy i życiu. Frekwencja dopisała, połączyli się uczestnicy z różnych miejsc na świecie. Możliwe, że na zainteresowanie twórczością pana Jarosława Abramowa wpłynęła też emisja serialu telewizyjnego

„Osiecka”, w którym pojawia się grana przez aktora jego postać, pokazane zostały też czasy Studenckiego Teatru Satyryków i przypomniane znane przeboje jego autorstwa. Otrzymuję wciąż pytania, czy nagranie ze spotkania będzie dostępne w Internecie. Odpowiadam: nagrania nie będzie, ale ukaże się wywiad z pisarzem. Tymczasem przypominam fragment mojej książki „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” o Jarosławie Abramowic-Newerlym i poświęconych jego twórczości dwóch spektaklach w Toronto. (JSG).

Warszawa, dn. 1 VII 1996 r.

Kochana Marysiu!

Przepraszani, że tak długo nie odpisywałem na Twój piękny list – i zaraz nie podziękowałem za wspaniałe zdjęcia i taśmę. Duże zdjęcie na tekturce (podejrzewam mistrzowską rękę Jurka) stoi przed moim biurkiem i w chwilach zwątpienia wściekłości, które mnie coraz częściej ogarniają spoglądam na nie – i zaraz mi cieplej na sercu. Dzięki całej Waszej Kochanej Rodzinie. Jak się ma takich ludzi wokół siebie – to zaraz skrzydła rosną. „Gęsi za wodą” nigdy bym ich nie napisał – gdyby nie Twoja Jurka i Agaty zachęta i wiara.

(...)

Ściskam Cię kochana Marysiu, Agatko i Jurku najmocniej – ucałowania dla Maćka, Tomka i Panny Matyldy – faworytki Dziadka Jerzego – Jarek (Abramow-Newerly).

Maria Nowotarska od początku pobytu w Kanadzie wiedziała, że w Toronto mieszka na stałe jeden z twórców Studenckiego Teatru Satyryków (STS-u), sam Jarosław Abramow-Newerly. Nie sądziła jednak, że znajomość z artystą, którego nie знаła w Polsce osobiście, przerodzi się w wielką, serdeczną przyjaźń i to z całą rodziną.

Jarosław Abramow-Newerly przyjechał do Kanady w 1985 roku. Razem z żoną Wandą – biologiem z doktoratem z wirusologii i 5-cio letnią córeczką Marysią, zamieszkali najpierw w Kingston – Ontario, a następnie przenieśli się do Toronto. Apartament w wieżowcu w downtown, przy Charles Street, niedaleko Queens Parku i Uniwersytetu, który spadł im „jak z nieba”, okazał się przyjazny. Stopniowo poznawali fascynujących ludzi z pasją i wchodzili w artystyczne torontońskie środowisko.

Jarosław Abramow-Newerly:

Przyjechałem tutaj jako człowiek teatru. Wówczas w Teatrze Polskim w Warszawie szła moja sztuka „Maestro” w reżyserii

Kazimierza Dejmka. Była wielkim sukcesem. W Toronto więc nie mogłem sobie miejsca znaleźć, brakowało mi teatru i ludzi teatru.

W II poł. lat 80. przyjechał do Toronto teatr z Warszawy ze sztuką Romana Brandstaettera „Milczenie”, zrealizowaną w Londynie przez Tadeusza Lisa. Po pewnym czasie, gdy reżyser zdecydował się zostać w Kanadzie, zaprosił do siebie Jarosława Abramowa z żoną. – To moja teściowa, przedstawił Marię Nowotarską, która właśnie przyjechała z Polski.

Jarosław Abramow-Newerly:

Marię Nowotarską znałem jako cenioną, wszechstronną i bardzo popularną aktorkę krakowską. Ale wiedziałem to od żony, bo żona z Krakowa. Chodziła do teatru, znała przedstawienia i wiedziała, że jest to duże nazwisko. Wtedy wielu wybitnych aktorów spoza Warszawy, nie występujących w telewizji i filmach, nie było znanych szerokiej publiczności. Dopóki Zaczyk, Seniuk czy Budzisz-Krzyżanowska nie przenieśli się do stolicy i nie zaczęli grać w filmie, nikt o nich w Polsce nie słyszał. Ofiarą takiego stanu rzeczy była też Maria, której popularność ograniczała się do Krakowa. A przecież takich aktorek jak Maria, o takiej urodzie, królewskiej wręcz aparycji i tak niezwykle

szlachetnych cechach, w tej kategorii wiekowej prawie już nie ma.

Tym bardziej żal było później pisarzowi usłyszeć od Marii: *zdecydowałam się zrezygnować z zawodu i poświęcić się wychowaniu wnuków. Chcę pomóc córce, która jest młodą aktorką z trójką dzieci. To dla mnie jest ważniejsze.*

Wtedy wyglądało na to, że aktorka pożegnała się z zawodem.



Jarosław Abramow-Newerly i Maria Nowotarska podczas spektaklu „Dopóki śpiewam ja”, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru z Toronto

Jarosław Abramow-Newerly:

W latach 80. takich przypadków odejścia od zawodu przez aktorów spotkałem parę. Pamiętam np. spotkanie w sklepie mięsnym na Kensington Market z Tomkiem Stockingerem, którego dopiero widziałem w sztuce „Mord w Katedrze” w reżyserii Jerzego Jarockiego w Teatrze Dramatycznym w

Warszawie. A tu nagle spotykam go tutaj. Zdumiony pytam: *Co pan tu robi?* A on mówi: *Wie pan, ja miałem już tak dosyć tego zawodu, że zrezygnowałem.* Ja mu na to: *Dla aktora każdy miesiąc, każdy rok jest ważny.* - *Ale są ważniejsze sprawy* - odpowiedział.

Tomek Stockinger nie był jedynym. Wówczas było tu spore środowisko polskich aktorów, którzy podejmowali różne poza aktorskie zajęcia. Np. aktor Jacek Kowalczyk, który m.in. występował w moim musicalu „Kto mi śpiewał serenadę” w Teatrze na Targówku, Małgosia Paruzel, aktorka łódzka, Krysia Adamiec, znana z STS-u, Teatrów Rozmaitości i Dramatycznego w Warszawie, czy gwiazda serialu „Klan” Agnieszka Kotulanka. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, że żaden z nich nie miał tej pasji, siły i przekonania, żeby wokół siebie skupić grupę ludzi i założyć rodzaj teatru, który się nieprawdopodobnie potem rozwinął.

O swoim spotkaniu z Jerzym Pilitowskim, Jarosław Abramow napisał w recenzji ze spektaklu „Dożywocie” Aleksandra Fredry w reżyserii Jerzego Kopczewskiego-Bułeczki[1].

(...) Twardosz był chyba największym zaskoczeniem. Zagrał go Jerzy Pilitowski, znany architekt z Krakowa, w życiu prywatnym

mąż znakomitej aktorki Marii Nowotarskiej, która obok Kopczewskiego-Bułeczki jest drugą opatrznościową duszą tego teatru. Ponieważ siedziałem obok wnuka pana Pilitowskiego, syna Agaty i Tadeusza Lisa (Tomka) – chłopiec jako bystre dziecko teatralne w mig mnie poinformował, że dziadek w tej roli jest wspaniały. – Dziadek zrobi tylko, proszę pana, tak! – tu wyciągnął ryjek – i już jest śmiesznie! Lis junior się nie mylił. Twardosz tak zrobił i było śmiesznie. Oszczędny i skupiony, szczególnie w scenie liczenia pieniędzy wypadł wspaniale. Rola tym godniejsza pochwały, że był to debiut inżyniera Pilitowskiego (jeśli odliczyć młodzieńczy występ w szkolnym teatrze). (...)

I tak znajomość teatralnych niespokojnych duchów i ich rodzin zaczęła się rozwijać, aby zaowocować na scenie.

Maria Nowotarska:

Pamiętam długie rozmowy z Jarosławem Abramowem. Mam nawet zdjęcie, jak on siedzi w tym naszym głębokim fotelu, a ja przy nim w fartuszkach, taka uśmiechnięta, już nie artystka wprawdzie, ale jednocześnie oko mi się skrzy, bo rozmawiamy o ciekawych rzeczach.



Maria Nowotarska i Jarosław Abramow-Newerly w apartamencie przy Oakmount Rd. w Toronto, „kwaterze głównej” teatru, jak mówił Jerzy Pilitowski

Jarosław Abramow-Newerly kilka lat wcześniej z okazji 40-lecia pracy artystycznej chciał przygotować spektakl muzyczny, polegający na scenicznym montażu znanych piosenek.

Rozmawiał na ten temat w Teatrze Ateneum, z którym był związany, potem z innymi reżyserami, lecz wszyscy uważali, że

jest to pomysł zbyt ryzykowny pod względem komercyjnym. - *Ten materiał, proszę pana, jest bardzo ciekawy, ale nie mamy na niego pomysłu* - mówili. Maria Nowotarska materiałem była zachwycona i mimo trudnych warunków pracy, nie widziała takich przeszkód, których nie można byłoby pokonać.

W 1996 roku na deskach sceny zaaranżowanej w Old Mill Salon Poezji i Muzyki wystawił Wielką Rewię Przebojów opartą na piosenkach Jarosława Abramowa-Newerlego pt. „Bo ja tak mówiłem żartem”[2], potraktowaną jako jubileusz. Był to pierwszy tak szeroki przegląd dorobku kompozytorskiego Jubilata. Oprócz piosenkarzy i aktorów do udziału w spektaklu zostali zaproszeni artyści o wielkich operowych głosach - Maria Knapik-Sztramko, sopran koloraturowy, mieszkająca w Ottawie i związana z Operą Lyra oraz Janusz Wolny, baryton, były solista Opery Krakowskiej, Wrocławskiej, Teatru Wielkiego w Warszawie, mieszkający wtedy w Montrealu. To oni zaśpiewali piosenki: „Miłości moja”, napisaną w 1968 roku, (Janusz Wolny) i „Mój głos sam uleciał”, skomponowaną specjalnie na ten wieczór dla Marii Knapik-Sztramko. W obydwu przypadkach było to prawykonanie. Maria Nowotarska zajęła się komponowaniem całości spektaklu pod względem układu i pomysłów inscenizacyjnych, Maciej Jaśkiewicz podjął się kierownictwa muzycznego. Do tego doszedł akompaniator - Józef Sobolewski, który jest nie tylko wspaniałym muzykiem umiejącym współpracować zarówno z piosenkarzami, jak i aktorami, ale

również gra na wielu instrumentach – fortepianie, harmonii i saksofonie. Przedstawienie zostało więc bogato opracowane pod każdym względem.

Spektakl zaczął się piosenką w zbiorowym wykonaniu „Wszystko tak jak w starym kinie” i ta sama piosenka zabrzmiała na finał. W międzyczasie zmieniały się klimaty od wesołych i roztańczonych po sentymentalne. Nie zabrakło ciekawych pomysłów inscenizacyjnych, ilustrujących treść piosenek.

Na końcu sam Jubilat w towarzystwie całego zespołu zaśpiewał żartobliwą piosenkę „Powrót taty”:

Na prawo dzieci, raz, dwa, trzy,

Na lewo dzieci, raz, dwa, trzy,

A każdy mój potomek

Otrzymać musi domek.

Wybaczcie, że niektóre z was

Widzicie tatę pierwszy raz.

Lecz ja mam więcej dzieci ach,

Niż Jan Sebastian Bach

PEKAO
NORAM
ONTARIO BREAD

Polsko - Kanadyjskie Towarzystwo Muzyczne
Salon Muzyki i Poezji
Dyrektor artystyczny: Maria Nowotarska Dyrektor muzyczny: Maciej Jaskiewicz

LOT
ZWIĄZKOWIE

JAROSŁAW ABRAMOW
-NEWERLY

WIELKA REWIA STARYCH I NOWYCH PRZEBOJÓW

W 40-lecie pracy twórczej znakomitego autora, współwórcy słynnego STS-u, autora 'Pana Zdzicha' i 'Aliantów' etc. etc.

wystąpią gościnnie:
Maria Knapik-Sztramko (Ottawa)
Janusz Wolny (Montreal)

ORAZ:
Małgorzata Drag
Barbara Kosiba
Agata Pilitowska
Sławek Iwasiuk
Krzysztof Jasinski
Józef Sobolewski

ZESPÓŁ WOKALNY
Reżyseria: **Maria Nowotarska**
Kier. muzyczne: **Maciej Jaskiewicz**

Okularnicy

Bożdar, trzymaj się Zrewiduj mnie
bo ja tak mówiłem zartem...
Widzisz Mała

Obecność Jubilata zapewniona
Niedziela, 24 Marca, 1996, godz. 16:00 i 19:30

THE OLD MILL 21 Old Mill Rd.
Sala Guildhall

Bilety \$18 (członkowie P.K.T.M. \$14, studenci \$10); w PEKAO, POLIMEX, HUSARZ
Informacja i rezerwacja: (416) 760-9745

design by barkinhotstudio inc. [miejsca numerowane]

„Bo ja tak mówiłem żartem”, 1996 r., plakat projektu Tadeusza Biernota

Henryk Dasko na gorąco zanotował swoje wrażenia w recenzji „Teatr prawdziwy”[3].

Wbrew pozorom, nie jest to łatwy materiał. W przedstawieniu bierze udział kilkanaście osób, w tym wielu amatorów, a Nowotarska ze zrozumiałych powodów woli pracować z zespołami mniejszymi, gdzie łatwiej wcielić w życie wskazówki reżysera. (...)

W zespole wyróżniają się kobiety, które z powodzeniem mogłyby się pojawić na dowolnej scenie, w dowolnym gronie. Maria Knapik-Sztramko, rewelacyjna sopranistka z Ottawy, znana dotąd z operowych arii, okazuje się urodzoną szansonistką kabaretową o magnetycznej prezencji scenicznej i ciepłym, łagodnym poczuciu humoru, tak ważnym przy ironizujących tekstach Abramowa. Znakomicie i ekspresyjnie śpiewa trudnych „Okularników” Agata Pilitowska, ze spektaklu na spektakl rozszerzająca swój warsztat aktorski; a Małgorzata Drąg imponuje nie tylko skalą głosu, ale i ogólnym profesjonalizmem. Barbara Kusiba, jedyna amatorka w tym zespole, wykazuje zaskakujący talent interpretacyjny i dramatyczny w brawurowym wykonaniu dwujęzycznej, polsko-francuskiej piosenki „I była plaża”. Jednak największe i zasłużone brawa zbierała sama Maria Nowotarska, z ogromnym entuzjazmem śpiewając piosenkę

„Jestem wiecznie młoda koza”.

Abramow, z usposobienia człowiek ciepły i liryczny, pisze znacznie lepsze piosenki dla kobiet niż dla mężczyzn, i to te właśnie melodie gwizdże się po wyjściu z przedstawienia. Ale i tu nie zabrakło kompetentnych wykonawców: Janusza Wolnego, obdarzonego silnym głosem i niespożytą energią, Krzysztofa Jasińskiego, aktora dużej kultury scenicznej oraz Sławka lwasiuka, odtwórcę charakterystycznego, o nieoczekiwanej vis comica.

(...) Swym ostatnim spektaklem Salon Poezji i Muzyki Marii Nowotarskiej i Macieja Jaśkiewicza wyszedł poza ramy amatorskiej, czy też pół amatorskiej produkcji. „Bo ja tak mówiłem żartem...” może być wystawione w tejże obsadzie, bez znaczących zmian, na jakiegokolwiek profesjonalnej scenie. Absurdem jest, że ów spektakl, w który włożono ogrom wysiłku, grany jest jak dotąd przez jedno popołudnie i jeden wieczór, że Salon – a także inne polskie sceny w Toronto, nie ma stałego locum, garderoby, kostiumów, scenografii, sprzętu, rekwizytorni... Absurdem jest wreszcie, że gdyby nie konsekwentne i hojne popieranie polskiego Teatru przez szefów przedstawicielstwa LOT-u i dyrektora Janusza Szatobę z Pekao, gdyby nie dobra wola kilku sponsorów, zaprzyjaźnionych już to z autorem spektaklu, już to z dyрекcją Salonu – przedstawienia by nie było. Czy to ważne? Bardzo ważne, albowiem ten teatr jest

elementem naszej kultury. Nie, nie kultury emigracyjnej, kultury polskiej.

Jarosław Abramow-Newerly:

To było dla mnie bardzo ważne spotkanie. Przypominano moje teksty kabaretowe, piosenki dla tutejszej publiczności. Była pełna widownia. Zobaczyłem, że moje utwory są ciągle aktualne. Wiele osób się pytało, gdzie to przedstawienie było wystawiane w Polsce i nie mogli uwierzyć, że to tutejsza produkcja, a nie spektakl przeniesiony z Warszawy.



„Dopóki śpiewam ja”, 2002 r., plakat projektu Joanny Dąbrowskiej

Niezwykłe przyjazny odbiór piosenek przez torontońską publiczność spowodował, że po sześciu latach od Wielkiej Rewii Piosenek w Old Mill, w 2002 roku Maria Nowotarska wraz z zespołem Salonu Poezji i Muzyki przygotowała kolejny wieczór poświęcony twórczości Jarosława Abramowa-Newerlego pt. „Dopóki śpiewam ja”. Tytuł został zaczerpnięty z piosenki w wykonaniu Jerzego Połomskiego „...*nic się nie martw, sytuacja nie jest zła – dopóki śpiewam ja!*”.

Spektakl „Dopóki śpiewam ja”, który odbył się tym razem w Burnhamthorpe Library Theatre w Mississaudze[4], został wzbogacony o konferansjerkę przybliżająca czas, historię, anegdotę i stał się spektaklem estradowym. Drugie przedstawienie nie było więc już tylko rewią piosenki, ale jak je nazwała Maria Nowotarska, był to „wieczór piosenki, satyry i sentymentu”.

Maria Nowotarska:

Moim zamierzeniem było stworzyć spektakl będący pretekstem powrotu do piosenek o różnym charakterze – krytycznym, humorystycznym lub poruszającym jakieś struny. Nie chciałam potraktować ich historycznie czy chronologicznie, tylko pokazać te najmilejsze, najbardziej utrwalone, funkcjonujące w zapisie społecznym, w pamięci epoki. Powróciliśmy więc do pięknych piosenek, które dają też duże możliwości aktorskie. Wiele osób, mieszkających w Toronto czytając „Kładkę przez Atlantyk” czy „Nawiało nam burzę” nie ma świadomości, że wychowywali się na piosenkach Abramowa, takich, jak “Bo ja tak mówiłem żartem” – wielki szlagier Igi Cembrzyńskiej, czy “Bogdan, Bogdan trzymaj się” z repertuaru Bogdana Łazuki. Poza tym np. tekst słynnych „Okularników” wprawdzie napisała Agnieszka Osiecka, ale muzykę skomponował Abramow.



„Dopóki śpiewam ja”, od lewej: Helena Janik, Kinga Mitrowska, Małgorzata Maye, fot. Jacek Kowalski



„Dopóki śpiewam ja”, Kinga Mitrowska oraz para taneczna:
Agata Hansen i Rafał Hołody, fot. Jacek Kowalski
Cel został osiągnięty, przedstawienie poruszyło różne struny,
publiczność była zachwycona. Jeszcze długo po spektaklu żyła
piosenka, śpiewana na koniec:

Przestrzegaj w życiu podstawowych zasad i praw.

Jak Pan Cogito wagę sobie spraw

do ciężkich spraw

Złocistych karpi nie czerp z wody,

gdzie mętny staw

I łatwych praw

i tanich praw nie szukaj na tej drodze.

Lecz idź, wciąż idź

O własne racje ucz się bić.

I idź, i idź,

Chodź łotrzy będą z Ciebie drwić

Ty idź i idź

(...)

przyjdzie dzień, że jasnym stanie się kochanie,

że ten bój był Twój, był Twój.

(...)

Jarosław Abramow grał na fortepianie i śpiewał nowo skomponowany utwór, idąc razem ze swoją piosenką w „ten bój”[5]. Zrobiło się familiarnie, spontanicznej radości nie było końca, a kontakt publiczności z pisarzem przypominał dobre czasy klubów i rozśpiewanych literackich kawiarni. Nie przeszkadzało nieklubowe wnętrze, zatarła się granica między sceną a widownią i wszyscy się dobrze bawili. Ten spektakl był wspólnym dziełem bohatera, artystów i publiczności. Jarosław Abramow powtórzył za Jerzym Kołaczem proste słowa „Jak dobrze być z wami”. Na koniec parafrazując powiedzenie znajomej, piekącej doskonałe torty, „nie wiem, jak Wam, ale mnie smakowało”, zakończył przedstawienie stwierdzeniem: „Nie wiem jak Państwu, ale mnie się podobało”.



„Dopóki śpiewam ja”, Jarosław Abramow-Newerly i Helena Janik, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru z Toronto

Spektakl został zainscenizowany jako rozbudowane widowisko teatralno-satyryczne w „piwnicznej” atmosferze. Piosenki zamieniały się często w scenki kabaretowe czy rodzajowe. „Walc Puru” w wykonaniu Kingi Mitrowskiej został zilustrowany tańcem, pary, która nagle pojawiła się na scenie, jakby obudziła się z piosenki i przemknęła w rytmie walca. „Okularnicy” wykonani przez Agatę Pilitowską i grupę SAS, byli współcześni. Zamiast okularnika i okularnicy ze skryptami

pod pachą w stołówce, czy na ulicy zobaczyliśmy piękną, zgrabną dziewczynę w towarzystwie trzech chłopaków w czarnych okularach.

Maria Nowotarska wyraźnie bawiła się tekstami Jarosława Abramowa, konstruując wieczór pełen niespodzianek. Znany autor tekstów, pokazany został również, jako popularny kompozytor, z czego nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Bohaterem przedstawienia, stała się więc piosenka bystrego podpatrywacza rzeczywistości, z trafnym tekstem i muzyką. Znane i lubiane przeboje pojawiły się w nowej aranżacji. Duże tempo zmian na scenie i różnorodność klimatów sprawiła, że spektakl miał swój charakterystyczny koloryt i cały czas trzymał w napięciu. Żart, satyra, groteska, to jeden rodzaj klimatu. Słynny przebój „Bogdan, Bogdan, trzymaj się”, który wykonywał Bogdan Łazuka, został rozbudowany w scenkę rodzajową i dostał swoje estradowe życie. Na scenie pojawiło się trzech Bogdanów, trzy żony i trzy „One”. Podobnie piosenki „Bo ja tak mówiłam żartem”, czy „Ja zazdroszczę Cyganom” zaaranżowane zostały „potrójnie”. Takie przedstawienie zapełniło scenę. Widz nie był skupiony tylko na jednej, śpiewającej osobie, lecz na trzech, a każda z nich wykonywała utwór w odmienny sposób. „Potrójna” inscenizacja była też symboliczna. Niemal każdy „podpatrujący” utwór Abramowa parodiuje jakąś typową cechę charakteru. Zbiorowa interpretacja piosenek, podkreślała więc tę typowość, a jednocześnie zaznaczała indywidualność każdej z osób.



Maria Nowotarska jako „wiecznie młoda koza” w spektaklu „Dopóki śpiewam ja”, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru z Toronto

W klimacie żartu i satyry, niezwykle humorystyczna i wręcz popisowa stała się piosenka w wykonaniu Marii Nowotarskiej „Jestem wiecznie młoda koza”. Z innych klimatów pojawił się sentyment i tęsknota, za życiem, marzeniami, utraconą miłością, przegapioną życiową szansą, w piosenkach „Ciekawe, gdzie on teraz jest”, „Była plaża”, „Ty mi pewnie nie uwierzysz”, „Spóźniony żal”, „Miłości moja”. Częstym tematem

„podpatrywania” Jarosława Abramowa tak w klimacie żartu, jak i sentymentu jest natura kobieca, którą autor rozważa na różne sposoby. Raz pokazuje zwykłą przekorę („Bo ja tak mówiłam żartem”), innym razem ciche, ukryte marzenie czy tęsknotę („Zrewiduj mnie”), a jeszcze innym razem uległość i jej konsekwencje – krzywdę wyrządzoną przez życie („Leon mieszkał na Sadybie”). W spektaklu temat ten zajmował dużo miejsca, w różnych inscenizacyjnych układach i interpretacji.

Utwory zostały tak wybrane, aby pokazać różnorodność nastrojów i klimatów w twórczości Jarosława Newerlego, a jednocześnie przypomnieć te ulubione teksty czy kompozycje, które zapadły głęboko w pamięci i kojarzą się z minionymi latami, otwierając na chwilę jakiś zamknięty rozdział w naszym życiu. Tak też było z zaproszeniem Jerzego Połomskiego, którego obecność wielu osobom kojarzy się z pewnym czasem, pewną epoką. Artysta miał wystąpić z krótkim recitalem, jednak na prośbę publiczności, a ku zaskoczeniu organizatorów występ zamienił się w wieczór wspomnień wypełniony większością znanych przebojów z repertuaru Jerzego Połomskiego. Artysta pojawił się na scenie tak jak przed laty, w nienagannym garniturze, równo uczesany, elegancki, tak samo śpiewający swoje przeboje. Stworzył swój własny styl i po cóż miałby go zmieniać. Śpiewa dla tych, którzy go słuchają, którzy go lubią. To jego głos towarzyszył dancinom, sylwestrom w lokalach, gdzie tańczono „Cała sala, śpiewa z nami”. To jego głos dobiegał z radia na wczasach, a

wakacyjny deptak brzmiał słonecznie piosenką „Bo z dziewczynami nigdy nie wie, och nie wie się”. Publiczność w Toronto bardzo gorąco przyjęła Jerzego Połomskiego. – *Była niesłychanie serdeczna atmosfera* – wspominał potem piosenkarz. – *Marysia zapowiedziała mi po prostu po królewsku. Szalenie to było miłe. Czułem gorące przyjęcie mnie przez publiczność. Sprawilo mi to dużą radość.*



„Dopóki śpiewam ja”, M. Nowotarska i J. Połomski



„Dopóki śpiewam ja”, Agata Pilitowska

Jarosław Abramow-Newerly:

Te dwa wieczory przeszły moje oczekiwania. Sam wiem, jak trudno jest reżyserować taką składankę i doprowadzić do końcowego efektu. Wprawdzie sam wybrałem utwory i uczestniczyłem w końcowych próbach, ale całą kompozycją zajęła się Maria.

Nasza współpraca z Marią i Salonem utwierdziła mnie w tym, że powinienem nadal się starać o zrealizowanie moich muzycznych utworów w Polsce i doprowadzić do przedstawienia muzycznego, mimo wcześniejszych nieudanych prób. Z moich piosenek zrobiłem musical w nowym układzie na kilkanaście osób i dałem do Ateneum. Tak samo powiodła się moja współpraca z teatrem Rampa. Dziś mogę powiedzieć, że ten wielki autorski bodziec, zawdzięczam Marii. Gdybym po tych dwóch przedstawieniach w Kanadzie nie widział gorącego przyjęcia i spontanicznej reakcji publiczności, nie miałbym tak głębokiego przekonania, że powinienem namawiać reżysera i teatr do zaryzykowania w Polsce spektaklu muzycznego. Na przyjęcie mnie urzędowe „proszę złożyć, rozpatrzemy”, zwykle nie reaguję. Natomiast gdy widzę, że mnie ktoś słucha, że jest zainteresowany, to daję z siebie maksimum. I właśnie z Marią, Jurkiem Pilitowskim i Agatą tak jest. Czuję ich olbrzymią życzliwość, zaufanie do tego, co robię i wielki entuzjazm.



„Dopóki śpiewam ja”, Maria Nowotarska i Jerzy Połomski, fot. arch. Salonu Poezji, Muzyki i Teatru z Toronto



Po spektaklu „Dopóki śpiewam ja”, od prawej: Jarosław Abramow-Newerly, Kinga Mitrowska, Maria Nowotarska i Jerzy Połomski, fot. Jacek Kowalski

Jarosław Abramow-Newerly mieszkał w eleganckim domu, na małej, zacisznej uliczce, niedaleko stacji metra Lawrence w Toronto. Dwie ulice dalej, w wysokim apartamentowcu na najdłuższej ulicy świata Yonge Street, na siódmym piętrze mieszkaliśmy my z Jackiem. Mieliśmy widok z balkonu na kościół katolicki, w którym często odbywały się szkockie uroczystości z piskliwymi kobzami i piękny park, ciągnący się daleko, aż do jeziora Ontario. Lubiliśmy wieczorem wychodzić na spacer i

unikając zgiełku ruchliwej ulicy, zapuszczają się w pobliskie uliczki. Każda pora roku miała inny urok. Zimą skrzypiał śnieg pod stopami, ośnieżone choinki przed domami pochylały się w stronę ulicy, czuło się zapach świąt, a bożonarodzeniowe lampki, okrywały każdy z domów blaskiem tajemnicy. Wiosną i latem kwitły krzewy i kwiaty, otaczając ukryte w uliczkach domy swoim świeżym aromatem. Jesienią szeleściły liście i złościły dywanem wejścia domów. Jakże inna była ta dzielnica od równo poustawianych niskich kamienic, z kolorowymi witrynami sklepów na Yongu. Wystarczyło skręcić w bok i już było się w spokojnym miejscu, gdzie życie mieszkańców upływało miarowo, w jednostajnym rytmie świąt i pór roku. Patrzyliśmy czasami ciekawie w okna, we wnętrzach można było dojrzeć fortepian, sztalugi czy kominek z lustrem, a czasami leniwie wylegującego się na parapecie kota. Kim są ludzie, którzy tam mieszkają? – zastanawialiśmy się. Nie wiedzieliśmy, że w jednym z tych domów, koło którego przechodziliśmy nie raz, mieszka Jarosław Abramow-Newerly. Z pisarzem spotkałam się dopiero po wyjeździe do Stanów. Gdy tłumaczył mi przez telefon „direction” – wysiądzie pani na stacji metra Lawrence – nie mogłam uwierzyć, że przez cztery lata byliśmy tak bliskimi sąsiadami.

Dom pisarza okazał się przyjazny, ciepły i rodzinny. Tak właśnie wyobrażałam sobie miejsce, gdzie można się skupić.

Uśmiechnięta pani domu i dużo staroci, przywołujących z pamięci polskie mieszkania międzywojenne, krakowskie czy

warszawskie. Do tego pies Webster i koty córki, przebywające chwilowo „na wakacjach”. W pokoju na wiszącej na ścianie fotografii poznałam „panią Basię”, mamę pisarza, która tak ciepło została opisana w „Lwach z mojego podwórka”. Tak to jest z pisarzami, że my, czytelnicy czujemy się z nimi blisko związani, jakby byli naszymi dawnymi znajomymi, wchodzimy do ich domu, jak w znajome progi,... a oni o nas wiedzą niewiele.

Jarosław Abramow-Newerly:

W Toronto mam taką swoją polską wysepkę. Zauważyłem, że czym jestem starszy tym bardziej się izoluję. Nie mam ochoty wyjść na imprezę, gdy np. jest brzydka pogoda. W domu mam warunki, spokój i dobrze mi. W Warszawie ciągle coś mnie rozprasza, spotkania, wizyty, promocje. A tu mam cały dzień dla siebie, wyprowadzam tylko psa i piszę. Ale wiem też, że mam tu przyjaźnie, takie jak z Marią, Jerzym i Agatą, które powstały przy wspólnej pracy. To bardzo ważne. Bardzo ich z Wandzią lubimy, bardzo ich cenimy. Niezwykle imponują nam swoją postawą i wielką skromnością.



Joanna Sokołowska-Gwizdka, Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny, wyd. Novae Res 2016 r.

Przypisy:

[1] Prapremiera sztuki zrealizowanej przez Teatr Polonia Scena Format miała miejsce w Toronto 2 października 1992 roku. Recenzja: Jarosław Abramow-Newerly, Z Bułeczką nie samym chlebem, „Związkowiec”, Toronto.

[2] Prapremiera, 24 marca 1996, The Old Mill, Jarosław Abramow-Newerly, Bo ja tak mówiłem żartem. Wielka Rewia

Przebojów, reżyseria: Maria Nowotarska, kierownictwo muzyczne: Maciej Jaśkiewicz, światło i dźwięk: Krzysztof Sajdak, organizacja spektaklu: Jerzy Pilitowski, wykonawcy: Malgorzata Drąg, Barbara Kusiba, Maria Nowotarska, Agata Pilitowska, Sławek Iwasiuk, Krzysztof Jasiński, zespół wokalny: Irena Haratym, Agata Milanowska, Kasia Mirczewska, Ola Turkiewicz, Krzysztof Jasiński, Wojciech Jaśkiewicz, Stefan Piszczek, Krzysztof Radecki oraz Maria Knapik-Sztramko i Janusz Wolny, fortepian Józef Sobolewski, syntetyzatory: Dariusz Król.

[3] Henryk Dasko, Teatr prawdziwy, „Gazeta”, Toronto, 29-31 marca 1996 r.

[4] Prapremiera: 6 grudnia, 2002, „Dopóki śpiewam ja”, spektakl poświęcony twórczości Jarosława Abramowa-Neverlego, scenariusz i reżyseria: Maria Nowotarska kierownictwo muzyczne: Józef Sobolewski, scenografia: Joanna Dąbrowska, światło i dźwięk: Krzysztof Sajdak, organizacja: Jerzy Pilitowski, projekt plakatu: Tadeusz Biernot, występują: Maria Nowotarska, Karolina Ingleton, Helena Janik, Małgorzata Maye, Kinga Mitrowska, Agata Pilitowska, Sławek Iwasiuk, Filip Świrski, Andrzej Pasadyn, duet taneczny Agata Hansen i Rafał Hołody, Grupa Studia Aktorskiego Salonu S.A.S. oraz gościnnie JERZY POŁOMSKI, Spektakle: Burnhamthorpe Library Theatre - 1350 Burnhamthorpe (7,8 grudnia 2002).

[5] Fragment recenzji, Joanna Sokołowska-Gwizdka, Salon muzyki, satyry i sentymentu, „Gazeta”, Torontno, nr 249, Nowy Rok 2003 r.

Zobacz też:

**EMIGRACYJNE ROZMOWY TEATRALNE - JAROSŁAW
ABRAMOW-NEWERLY:**

oraz

„Teatr spełnionych nadziei” - opowieść o polskim teatrze w Toronto.

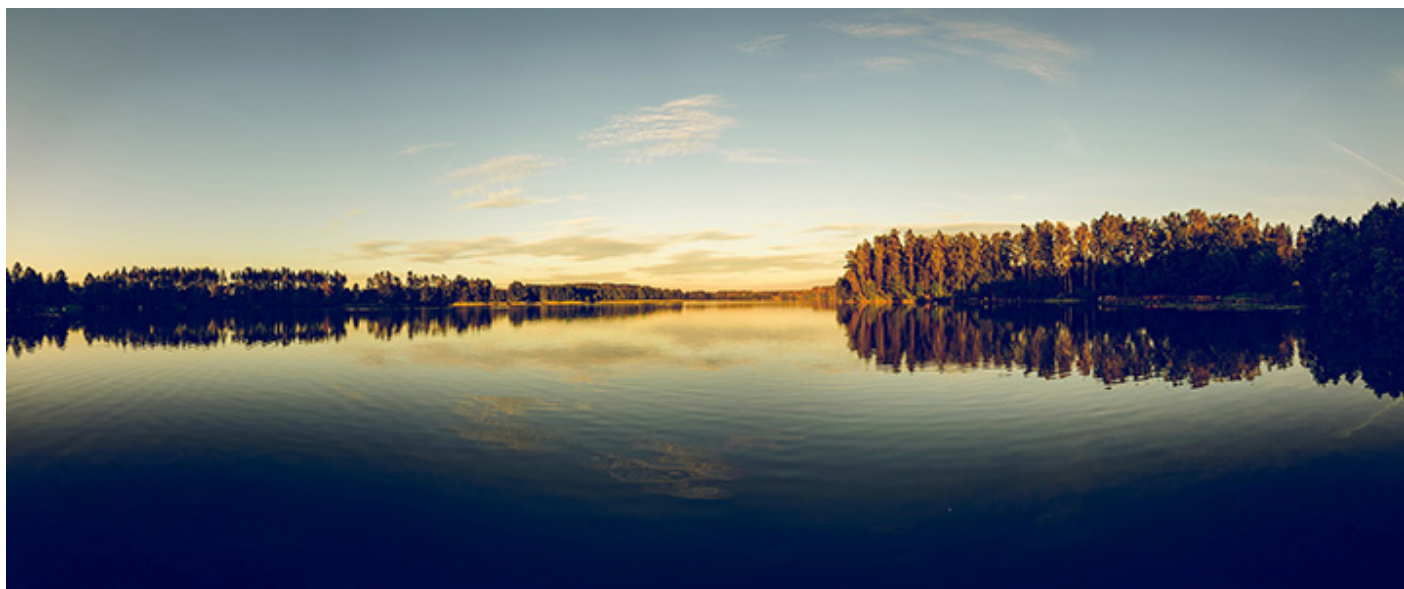
Więcej niż monografia. „Teatr spełnionych nadziei” Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

Z Krakowa do Toronto czyli teatr dla emigranta

Polskie teatry są wszędzie...

„Teatr spełnionych nadziei”

Mój dąb w Suwałkach



Fot. Dariusz Sankowski z Pixabay

Jarosław Abramow-Newerly (*Toronto*)

Pierwszy raz zetknąłem się z Pojezierzem Suwalsko-Augustowskim bardzo dawno, bo w 1954 r. Byłem wtedy na studiach. Mój Ojciec zapalony myśliwy zabrał mnie ze sobą na polowanie na głuszca do Puszczy Augustowskiej. Jest to bardzo rzadki ptak i na jego odstrzał trzeba było uzyskać specjalne zezwolenie. Ojcu w tym polowaniu towarzyszył wytrawny myśliwy, redaktor naczelny „Łowca Polskiego” Zbigniew Kowalski oraz znakomity fotografik przyrody Włodzimierz Puchalski. Redaktor Kowalski miał uczyć Ojca trudnej sztuki podchodzenia głuszca. Wymagało to najpierw pójścia wieczorem na tak zwane zapady, czyli wypatrzyć w puszczy, na którym drzewie głuszec zapadnie, aby rano, kiedy tokuje na sośnie wabiąc samicę podejść go i ustrzelić. W czasie toków mniej słyszy, ale i tak jest bardzo czujny i wymaga od myśliwego specjalnych umiejętności.

Rejon naszego polowania znajdował się w leśnictwie położonym blisko śluzy Przewież na Kanale Augustowskim. Zgodnie z planem przed zmierzchem udaliśmy się wszyscy czterej na podchody. Redaktor Kowalski był przedwojennym doświadczonym myśliwym, znał świetnie las i niejednego głuszca w życiu ustrzelił. Wiedział świetnie, na jakiej mniej więcej starej sośnie głuszec może na noc zapaść. My szliśmy ze swoimi dubeltówkami na ramieniu, a Włodzimierz Puchalski z dużym aparatem fotograficznym na piersiach. To była jego broń. Ubrany był w strój myśliwski. Nosił na głowie zielony kapelusz, był w

takich samych zielonych gumiakach i w kurtce w kolorze ochronnym. Panowie dobrze się znali i podczas tych podchodów przekomarzali się ze sobą.

Puchalski uznawał tylko bezkrwawe łowy, którą to nazwę sam wymyślił i popularyzował na licznych zdjęciach przyrody, z których był sławny, zamieszczanych między innymi w tygodniku „Przekrój”. Pochodził z Lwowa, miał lwowski akcent i duże poczucie humoru.

- Ty to, braszku, jesteś rzeźnik - mówił do Kowalskiego - Tylko byś mordował te biedne zwierzęta. Co to za przyjemność? Mnie to nie rajcuje. Prawdziwą frajdą jest ustrzelić głuszca z mojego aparatu i go nie zabić. Niech sobie dalej tokuje, śpiewak. Ot co!

Kiedy zbliżyliśmy się do przypuszczalnych zapadów Kowalski nakazał całkowitą ciszę. - Podbiegamy bezszelestnie parę kroków i zamieramy w bezruchu. Nasłuchujemy - pouczał Ojca zapominając o tym, że Tata nie ma jednej nogi, nosi ciężką skórzaną protezę i nie może biegać. Redaktor „Łowca Polskiego” miał jednak dobrego myśliwskiego nosa, bo mieliśmy szczęście wypatrzeć czarnego głuszca na wysokiej sośnie na której zapadł na noc. Puchalski go sfotografował. Miał w swoim aparacie przybliżający teleskop. Teraz pozostawało tylko jutro po cichu go podejść i ustrzelić. Nazajutrz zerwaliśmy się o samym świcie i ruszyli na podchody. Podziwiałem Kowalskiego jak pewnie

prowadzi w miejsce zapadów. Z daleka usłyszeliśmy tokującego głuszca.

- Słyszycie? Cuszika. Mamy go! - rzekł Kowalski - Teraz, panie Igorze, tak jak mówiłem, podbiegamy parę kroków i zamieramy w bezruchu. Dobrze jak pan, młody człowieku - zwrócił się do mnie - zdejmie buty. Żadna gałązka pod stopami nie ma prawa zaszeleścić. On jest bardzo czujny. I łatwo go spłoszyć.

Podchodziłem go więc ofiarnie w skarpetach, podbiegając na znak Kowalskiego tylko wtedy, kiedy głuszczyk siedzący wysoko w koronie sosny głośno tokował. Kiedy byliśmy już prawie na odległość strzału głuszczyk się nagle poderwał i odfrunął. Na nic więc zdały się rady Kowalskiego i moja ofiarność. Wróciliśmy z tych podchodów z niczym. Tylko Puchalski go ustrzelił i miał jego zdjęcie. Ja dodatkowo miałem mokre nogi. Kiedy przyszliśmy do Przewięzi czekał nas niezwykły widok. Do słuzy wpadł wilk i nie mógł z niej wyjść. Pazurami rozpaczliwie drapał w belki i wystawiał łeb z wody.

- Postaramy się go odłowić - rzekł leśniczy. Już nie pamiętam jak to zrobił, ale wilk został uratowany. W tym samym roku 1954 poznałem Suwalszczyznę. Pojechałem bowiem nad jezioro Wigry, o którym wiele opowiadał mi mój Ojciec, szczególnie zachwalając przepiękną rzekę Czarną Hańczę. Zamieszkałem w Domu PTTK, w którym nie było żadnych turystów. Łodzią na wiosła dotarłem

do pustego klasztoru Kamedułów, który mieścił się na wysokim półwyspie. Z tego klasztoru mnisi zostali usunięci i ich eremy stały puste.

Następne moje spotkanie z Augustowem miało miejsce w lipcu 1962 roku. Postanowiliśmy spędzić tam wakacje razem z Włodzimierzem Odojewskim, Jerzym Krzysztoniem i Januszem Krasińskim. Dołączył do nas Zbigniew Herbert. Ponieważ żona Włodka, Inka Odojewska była bardzo wymagająca pod względem wygód, chciała mieć łazienkę z ciepłą wodą, Włodek wynajął mieszkanie w nowym bloku. W jego ślady poszedł Jerzy Krzysztoń. Ja zamieszkałem niedaleko w domu leśniczego. Byliśmy tam więc w gronie młodych pisarzy. Lato tego roku było deszczowe spędzaliśmy więc czas w mieszkaniu Włodka Odojewskiego grając w pigwę. Stołowaliśmy się w jedynej restauracji „Stodoła”. Zbyszek Herbert, który często bywał w Augustowie, słyszał o tragicznej historii. Właśnie w tej restauracji „Stodoła” kilku młodych chłopców po wypiciu paru piw posprzeczało się ze swoim rówieśnikiem Brunonem Wojciechowiczem. Wyprowadzili go z restauracji i pobili na śmierć. W szkole przezywano Brunona „Lalek”, ze względu na zawsze schludny wygląd i delikatne maniery. Wszyscy chłopcy mieszkali na robotniczym osiedlu Lipowiec. Zbyszek znał matkę Brunona i pomógł jej we wszystkich czynnościach pogrzebowych. Był w prosektorium i identyfikował ciało zmarłego. Wziął udział w pogrzebie. Lalek zginął bo był kolorowym ptakiem wśród

szarych wróbli. Drażnił ich swoją innością. I przypłacił to śmiercią.

Po dwóch latach Zbyszek Herbert napisał świetne słuchowisko radiowe „Lalek”, którego akcja rozgrywała się właśnie w takiej prowincjonalnej knajpie. Bezsensowna śmierć młodego, niewinnego chłopca stała się kanwą tego utworu. Wszyscy interesowaliśmy się sztuką i usłyszeliśmy, że w Augustowie mieszka ciekawy ludowy rzeźbiarz, który nazywa się Jan Szostak i warto go odwiedzić. Rzeźbił w drzewie różne figury, w tym świątki. Jego prace były interesujące i wszystkim nam się podobały. Pewnego wieczoru Włodek Odojewski wyraźnie poruszony powiedział:

- Zgadnijcie co mi w wielkiej tajemnicy powiedziała wczoraj nasza gospodyni? - No, nie wiem. Mów wreszcie - ponaglił go Jurek Krzysztoń. - Wyobraźcie sobie, że ten cały pocziwy rzeźbiarz Szostak w lipcu 1945 roku brał aktywny udział w wielkiej Obławie Augustowskiej przeprowadzonej przez wojska NKWD i polskie UB na tutejszej ludności. Wydawał w ręce Rosjan byłych żołnierzy AK. Nazwano go katem Augustowa - Nic o tej obławie nie słyszałem - powiedziałem zdziwiony - A widzisz! - odparł mi Włodek. - Bo to jest okryte wielką tajemnicą. Wywieziono wtedy z Augustowa i Suwalszczyzny mnóstwo ludzi w głąb Rosji. Wielu już nigdy nie wróciło z łagrów - No, proszę! - wtrącił Janusz Krasiński, który przesiedział dziewięć lat w

stalinowskim więzieniu. - A on mi wyglądał na ubeka. Ja na nich mam nosa - stwierdził. - Krótko mówiąc do tego już doszło, panowie, że byli ubecy rzeźbią świątki i są ludowymi artystami - skwitował Zbyszek Herbert.

Wiadomości o tej obławie dużo później zostały odkryte i badacze tej zbrodni dowiedli, że ta akcja przeprowadzona została na osobisty rozkaz Stalina, który planując swoją podróż pociągiem do Berlina na pokojową konferencję w Pocztdamie, postanowił oczyścić teren z wrogów ludu.



Jarosław Abramow Newerly (z prawej) z ojcem, Igorem Newerlym w lesie na Mazurach, fot. arch. J. Abramowa Newerly'ego

Przez Marka Nowakowskiego na początku lat sześćdziesiątych poznałem znakomitego grafika Jerzego Jaworowskiego, autora świetnych plakatów i kierownika pracowni graficznej wydawnictwa „Czytelnik”. To Jawor, jak go nazywaliśmy, pięknie zilustrował pomnikowe wydanie „Trylogii” Henryka Sienkiewicza. Jurek Jaworowski był o czternaście lat starszy ode mnie i urodził się w Augustowie. Jego ojciec, Jan Jaworowski był

przed wojną powiatowym lekarzem w Augustowie. Jurek w dyskrecji przyznał mi się, że był aresztowany w Obławie Augustowskiej w lipcu 1945 roku i wywieziony w głąb Rosji, gdzie spędził kilka lat w łagrach, ciężko pracując w kamieniołomach. Dopiero grubo po wojnie udało mu się szczęśliwie wrócić do Polski i podjąć spóźnione studia. Jawor, który znakomicie znał ziemię augustowską, polecił mi na wakacje wieś Wojciech nad jeziorem o tej samej nazwie, które łączyło się z dużym jeziorem Białym. Pojechaliśmy do Wojciecha razem z Markiem Nowakowskim i jego żoną Jolą. Gospodarze państwo Woronieccy, co wtedy było wielką rzadkością, prowadzili gospodarstwo agroturystyczne i wynajmowali wczasowiczom pokoje z pełnym wyżywieniem. W Wojciechu spędzała również swoje wakacje żona Jurka Jaworowskiego - Hanka z dziesięcioletnim synem Piotrusiem. Jawor pracował w Warszawie i dojeżdżał do nas na niedzielę swoim autem. Miejscowość była przepiękna i te wakacje w Wojciechu uważam za jedne z najlepszych w moim życiu. Tam małego Piotrusia Jaworowskiego nauczyłem pływać. Zabrałem ze sobą mój składany kajak, którym pływaliśmy po jeziorze. To mi jednak nie wystarczyło i wyczytałem w przewodniku, że niedaleko stąd płynie rzeka Blizna i warto się na nią wybrać. Popłynęliśmy tam więc z Markiem Nowakowskim i ten spływ okazał się niezapomniany.

Blizna była całkowicie dziką rzeką płynącą przez szuwary i podmokłe łąki. Było to prawdziwe uroczysko. Na tej rzece

mogłem sobie wyobrazić jak wyglądały przedwojenne spływy Ojca na naszym Polesiu. Po obydwu brzegach rosła wysoka trzcina. Czasem z tej trzciny podrywała się spłoszona czapla. Dzień był wyjątkowo upalny. Żar lał się z nieba. Nie wzięliśmy ze sobą nic do jedzenia, ani do picia. Spragnieni wody piliśmy ją prosto z rzeki. Była krystalicznie czysta. Gdzie spojrzeć na płaskim terenie rosło tylko zielone sitowie. Nie sposób było wyjść na brzeg, bo wszędzie były dzikie moczary.

- Wpakowaliśmy się w niezłą wyrypę. Co, stary? - śmiał się ubawiony Marek. Pierwszy raz był na takim wariackim spływie i dzielnie wiosłował w czubie kajaka. Ja jako kapitan siedziałem z tyłu u steru. Nie mieliśmy wyjścia i skazani byliśmy na to wiosłowanie. Po kilkunastu kilometrach, zmordowani wiosłowaniem i tym upałem dopłynęliśmy do niedużego jeziora, w którym z rozkoszą się wykąпалиśmy. Późnym wieczorem zmachani ale i szczęśliwi, że tak po męsku sprawdziliśmy się na tej Bliźnie, wróciliśmy do domu.

W 1969 roku również Jurek Jaworowski polecił mi pensjonat pani Jasiewiczowej w Gawrychrudzie nad jeziorem Wigry. Był to jeden z nielicznych w Polsce pensjonatów. Nie zabrałem ze sobą kajaka, ale do dyspozycji pensjonariuszy były łodzie. Jedzenie było wyśmienite. Spędziłem tam bardzo miło dwa tygodnie. Po wielu latach w tym samym pensjonacie pani Jasiewiczowej w Gawrychrudzie przebywał w stanie wojennym świetny pisarz i

poeta Jarosław Marek Rymkiewicz, który opublikował potem książkę w Instytucie Literackim w Paryżu oraz w wydawnictwie drugiego obiegu „Rozmowy Polaków”, które umieścił w tym pensjonacie w Gawrychrudzie. Nie mogłem liczyć na wyszukanie mi nowego miejsca na Suwalszczyźnie, czy na jeziorach augustowskich na Jurka Jaworowskiego, bo niestety zmarł przedwcześnie w 1975 roku. Zachorował na wyjątkowo agresywną formę białaczki, na którą nie było ratunku. Dla naszego przyjacielskiego grona Jego odejście było wielką stratą. Ciągłe z Markiem Nowakowskim (dopóki żył) i Jolą wspominaliśmy przemiętego Jawora.

W 1977 roku znów zatęskniłem za Wigrami i postanowiliśmy z moją Żoną Wandzią spędzić tam wakacje. W małej wiosce Zakąty, po drugiej stronie jeziora co Gawrychruda, swój dom pobudował mój stary przyjaciel z STS-u Stanisław Tym, który ukochał Zakąty, ten prawdziwy zakątek dzikiej przyrody. Staś Tym mieszkał w tym domu z żoną Anną, świetnym architektem, oraz chyba dziesięcioma psami. Najstarszy był chiński Czau-Czau, na którego dowcipny Staś wołał Fotel.

- To jest, drogi Jarku, mój Fotel - tłumaczył mi i lekko na nim siadał. Reszta psów to były kundły przygarnięte przez Stasia. My z Wandzią też przyjechaliśmy z psem pudlem, który urodził się w dzień świętego Huberta, patrona wszystkich myśliwych i Wandzia postanowiła go nazwać Hubert. W zdrobnieniu

nazywaliśmy go Hubek. Moja córka Basia, jak była mała, nie mogła tego wymówić i wołała na niego Ubek. Kiedy powiedziałem o tym Stasiowi, bardzo mu się to spodobało.

- Ubek do nogi. Znakomite! - śmiał się. Staś polecił nam gospodarzy, którzy zgodzili się nas stołować. Przetrwał tam prastary zwyczaj raz w tygodniu pieczenia dużych bochnów razowego chleba na liściach kalmusu. Ten razowiec posmarowany świeżo ubitym masłem i leśnym miodem smakował lepiej niż najlepsze ciastko od Bliklego. Te wakacje w Zakątach też były jedne z piękniejszych.

Moim starym kolegą jeszcze ze szkoły i ze studiów był Marian Jonkajtys. Marian zaczął studiować rusycystykę, ale znudzony studiami postanowił zdawać do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Namawiał mnie, żebym razem z nim poszedł na egzamin. Posłuchałem go i przygotowałem balladę Mickiewicza „Czaty”. „Z ogrodowej altany, wojewoda zdyszany” - recytowałem w domu głośno. Ale w ostatniej chwili stchórzyłem i nie poszedłem z Marianem na ten egzamin. On został aktorem, a ja jako aktor wyżywałem się w teatrze STS. To aktorstwo w końcu mnie zmęczyło, wymagało grania każdego wieczoru, a ja wolałem być wolny. Większą przyjemność sprawiało mi pisanie tekstów dla aktorów i słuchanie reakcji publiczności. Z czasem Marian Jonkajtys został znanym aktorem estradowym, tańczył i śpiewał. Wraz z żoną, świetną piosenkarką Reną Rolską często

wyjeżdżał na tournée do Rosji, gdzie w znakomicie opanowanym języku rosyjskim prowadził konferansjerkę. Obydwoje byli bardzo popularni w Rosji. Kariera aktorska mu nie wystarczyła i w dawnym stalinowskim Domu Kultury na Targówku postanowił założyć Muzyczno-Estradowy Teatr. Kosztowało go to wiele trudu. Był bezpartyjny, ale dopiął swego. Stworzył „Teatr na Targówku”, który dziś nazywa się „Rampa”. Marian namówił mnie, żebym do jego teatru napisał musical. W tym celu zatrudnił mnie jak swojego doradcę programowego. Dzięki niemu napisałem musical „Kto mi śpiewa serenadę?”, który wystawiony został w gorącym okresie pierwszej „Solidarności” w 1980 roku. Marian zagrał w nim głównego bohatera i brawuro odśpiewał i odtańczył moje piosenki.

Po wprowadzeniu stanu wojennego przestał być dyrektorem teatru, a ja wraz z nim straciłem posadę. – To co teraz będziesz robił? – spytałem go. – Postanowiliśmy razem z Renusią zerwać z zawodem aktorskim i nie występować już na estradzie – odparł mi. – To z czego będziecie żyć? Macie na utrzymaniu syna Grzegorza? – Zmienimy zawód. Przekwalifikujemy się – odpowiedział mi szybko. Nie bardzo w to wierzyłem. Ale Marian dotrzymał słowa i zaczął wyrabiać artystyczne przedmioty sprzedając je w „Cepelii”. Został metaloplastykiem. Rzeźbił również w drzewie ludowe świątki. Uzyskał dyplom artysty rzemieślnika.

Tak jak Jawor pochodził z Augustowa i w 1940 roku jako dziewięcioletni chłopiec został aresztowany wraz z matką nauczycielką i starszym rodzeństwem przez NKWD. W nieludzkich warunkach wywieziono ich w bydłych wagonach aż do Kazachstanu. Tego długiego transportu podczas straszliwej zimy 1940 roku wielu ludzi nie wytrzymało i zmarło z głodu i mrozu. Ich martwe ciała strażnicy wyrzucali z pociągu. Kiedy po miesiącu jazdy ten morderczy transport dotarł wreszcie do Kazachstanu przewodniczący Kołchozu powitał ich tymi słowami: - Was panowie iz Polszy przywieziono tutaj, żebyście wyzdychali.

Oni jednak wytrwali i na tym zesłaniu przeżyli sześć lat. O tym wszystkim Marian mi nie mówił w czasach PRL-u i pojęcia nie miałem, że jako chłopiec tyle się wycierpiał. Dowiedziałem się o tym dopiero po 1989 roku. Co ciekawsze Marian pomimo tych strasznych przejść nie żywił żadnego urazu do Rosjan. Wręcz przeciwnie. Poszedł na rusycystkę i znakomicie śpiewał na akademiach rosyjską piosenkę „My futbolisty” w duecie z drugim kolegą Markiem Lipszycem. Podczas stanu wojennego zaczął również pisać wiersze z czym się też krył. Dopiero pod koniec życia mi je pokazał i poprosił, żebym do nich napisał wstęp. Wydał tę książkę w Instytucie Lwowskim u innego mojego wielkiego przyjaciela Janusza Wasylkowskiego, który ten Instytut założył w swoim mieszkaniu na Jelonkach w 1991 roku, nie mając w domu telefonu, ani samochodu. Po przeczytaniu tych wierszy byłem prawdziwie wstrząśnięty.

We wstępie do tej książki zatytułowanej „W Sybiru Białej Dżungli” napisałem: *Wiersze Mariana Jonkajtysa są naprawdę niezwykle. Skromnie nazwane zapiskami mają coś z pamiętnika ocalającego miejsca, nazwy i fakty – jednocześnie zrymowane celnie i błyskotliwie, nierzadko z humorem. Niektóre utwory są klasy Feliksa Konarskiego – Refrena i innego Mariana – Hemara. „Marsz Sybiraków” ma na pewno ten sam ładunek uczuciowy co słynne „Czerwone maki na Monte Cassino” Refrena, czy „Karpacka brygada” Hemara. Nic dziwnego więc, że marsz ten, ze świetną muzyką Czesława Majewskiego, stał się Hymnem Sybiraków.*

Swoje poezje podarował mi Marian z następującą dedykacją: „Jarkowi – drogiemu Przyjacielowi z wyrazami szacunku i wdzięczności – Marian. Grudzień 2002.” Nie wiadomo kto komu powinien być wdzięczny – pomyślałem. Dzięki Marianowi napisałem musical „Kto mi śpiewał serenadę?” W niedługim czasie Marian Jonkajtys zmarł przedwcześnie na raka. Dziś jest bardzo szanowany jako poeta i bard Sybiraków, a Jego rodzinny Augustów uczcił Go nadając jednej z ulic nazwę Mariana Jonkajtysa. W teatrze Rampa ma także swoje upamiętnienie. Jego popiersie wita od lat gości w holu teatru. Wiersze Mariana mają jeszcze tę zaletę, że pisane były przez aktora i nadają się świetnie do recytacji.



Igor Newerly na kajaku, fot. arch. J. Abramowa-Newerly'ego
W 2003 roku Biblioteka Narodowa w Warszawie postanowiła urządzić wystawę w stulecie urodzin mojego Ojca.

Pomysłodawcą i kuratorem tej wystawy był profesor Jan Zieliński, który wpadł na oryginalny pomysł by na tej wystawie wyeksponować drewniany kajak zrobiony przez mojego Tatę. Wystawa ta była bardzo udana i Muzeum w Suwałkach zgłosiło się, że chcą tę wystawę do siebie przenieść. Tak, że kajak Taty zawędrował do Suwałk. Jako gość honorowy zostałem zaproszony do Suwałk, gdzie pojechałem wraz z moją córką Basią. Uroczy dyrektor Muzeum Jerzy Brzozowski, po oprowadzeniu nas po wystawie, zaproponował bym w ogrodzie posadził drzewo na pamiątkę tego wydarzenia. Z radością to z Basią uczyniliśmy. Teraz ten dąb ma już siedemnaście lat. Tak, że Ojciec i ja mamy swoje drzewo w Suwałkach. Pracownik Muzeum starszy kustosz i kronikarz życia literackiego Suwalszczyzny - Zbigniew

Fałtynowicz obwiózł nas swoim samochodem po ziemi suwalskiej. Odwiedziliśmy m.in Stasia Tyma w Zakątach nad jeziorem Wigry.

Do napisania tych wspomnień zachęciło mnie dwóch wiernych synów Augustowa. Bogdan Falicki zamiłowany animator kultury i społecznik oraz założyciel Klubu Augustowian i Suwalczan w Warszawie i profesor Bernard Wielgat – uczony badacz w Instytucie Biochemii i Biofizyki. Mimo, że od lat mieszkają w Warszawie, Augustów i Suwalszczyzna jest w sercu ich małą Ojczyzną. Dzięki takim ludziom jak Oni pamięć o tej pięknej i doświadczonej ciężko przez historię ziemi wciąż jest żywa.